

## I. PRZEGLĄD STRATEGICZNY – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE

Żyjemy w okresie, w którym toczy się spór o to, co jest głównym problemem polityki międzynarodowej, czy szerzej politycznej transformacji świata. Spór o ten swoisty prymat toczy się wokół dwóch problemów. **Zdaniem jednych sprawą najważniejszą są istniejące i dzielące ludzkość nierówności gospodarcze i niesprawiedliwości społeczne**, których świadomość jest obecnie wyjątkowo silna. Z ową niesprawiedliwością związane jest polityczne przebudzenie ludzkości, które obejmuje przede wszystkim młodzież. Temu napięciu towarzyszą takie zjawiska jak przesuwanie punktu ciężkości potęgi gospodarczej z Zachodu na Daleki Wschód czy nieokreślona wojna z terroryzmem toczona przez Stany Zjednoczone, które mogą się uwikłać w długotrwały konflikt z politycznie pobudzonymi i wstrząsanymi religijnym radykalizmem społeczeństwami Środkowego Wschodu (Iranu, Pakistanu oraz ogarniętymi wojną Irakiem i Afganistanem). Niezależnie od tego postępuje rozszerzanie i konsolidacja UE proponującej pewną wizję porządku międzynarodowego, która jest próbą odpowiedzi na ten problem. Od sposobu, w jaki świat poradzi sobie z tą sytuacją, w tym z koniecznością geopolitycznej akomodacji, czyli zmianą w hierarchii układu sił i sposobu współdziałania mocarstw na rzecz regulowania problemów międzynarodowych, będzie zależeć przyszły charakter porządku międzynarodowego<sup>1</sup>. **Zdaniem innych głównym problemem jest zaostrzenie się konfliktu między autokracjami a demokracjami**. W kategoriach geopolitycznych „żyjemy w świecie, w którym liczą się Waszyngton, Pekin i Moskwa”. W takim świecie nie są ważne wielkie idee, tylko układ sił; w takim świecie międzynarodowa harmonia nie jest możliwa. Zasadniczym problemem dla Zachodu powinno być utrzymanie hegemonii Stanów Zjednoczonych. One same pozostają i pozostaną przekonane o swym prawie do używania siły wobec innych narodów, o specjalnej roli, jaką Ameryka powinna odgrywać w świecie. Jak mówi wprost Robert Kagan, reprezentatywny przedstawiciel tego nurtu myślenia, który zdefiniował politykę zagraniczną i bezpieczeństwa administracji G.W. Busha, tak będzie nadal, gdyż „Ameryka nie może stać się normalnym państwem – bo dążenie do zmiany ładu światowego jest niejako zakorzenione w naszym DNA.

<sup>1</sup> Reprezentatywny dla tego sposobu myślenia był wykład Z. Brzezińskiego *Prognoza dla świata* w ramach Gdańskich Areopagów, 1 października 2007 r. Tekst wykładu w: „Dziennik Bałtycki” z 2 października 2007 r.; także W. Pfaff, *Restoring balance to a globalized world*, „International Herald Tribune” z 4 czerwca 2007 r.

**Ekspansjonizm, brutalność, skłonność do ingerowania w sprawy innych oraz dążenie do hegemonii to nie są wypaczenia amerykańskiego charakteru narodowego. To są jego najistotniejsze cechy**<sup>2</sup>. Głównym zagrożeniem dla tej wizji świata są, zdaniem jej autorów, coraz bardziej imperialna Rosja i niezmiennie autokratyczne Chiny. Jedynym zbawieniem – hegemonia USA. Stany Zjednoczone miałyby odgrywać taką samą rolę w epoce globalizacji, jak Wielka Brytania w XIX wieku. Jak się okazuje, neoimperialni „rewolucjoniści” chcieliby cofnąć porządek międzynarodowy o dwa stulecia<sup>3</sup>!

Jak pokazują raporty Freedom House, w ostatnim roku istotnie nastąpił pewien regres, jeśli chodzi o stan demokracji na świecie. Należy to jednak traktować raczej jak wahnięcie niż tendencję. Widząc „pinoczetyzację” systemu politycznego w Rosji, warto pamiętać, że po erze Pinocheta Chile weszło w okres ekonomicznej prosperity i stabilnej demokracji. Trend ku poszerzaniu strefy demokracji jest nieodwracalny. Szkodzić mu jednak mogą właśnie nawroty do polityki siły, postrzegania świata w kategoriach strefy wpływów, dążenia do hegemonii, która „nam się należy”, a kto jest przeciw, ten jest wrogiem demokracji. Przypomnijmy, to chęć rozciągnięcia kontroli nad bogatymi zasobami ropy naftowej była przyczyną wojny przeciwko Irakowi (Alan Greenspan potwierdził to jednoznacznie). Z jednej strony wojna i wojownicze zachowanie USA w tej części świata wywindowały cenę ropy naftowej do 100 USD za baryłkę, czego głównym beneficjentem okazała się Rosja. Z drugiej strony pokaz bezwzględnej polityki z pozycji siły w wydaniu administracji Busha wywołał efekt demonstracji. Inne mocarstwa postanowiły pójść w ślady Ameryki, na ich miarę i zgodnie z ich możliwościami. Przed uruchomieniem tego rodzaju globalnej, geopolitycznej tektoniki mogła uchronić Waszyngton elementarna wyobraźnia i wiedza o stosunkach międzynarodowych. Górę wzięła mocarstwo-wa arogancja i ideologiczne zaślepienie. Ameryce G.W. Busha udało się zarazić niektóre inne mocarstwa i teraz już za późno ubolewać nad tym, że Chinom nie przeszkadza reżim polityczny w jakimś afrykańskim kraju, w którym mogą zaopatrywać się w ropę naftową czy inny surowiec naturalny (jak gdyby kiedykolwiek przeszkadzało to mocarstwom zachodnim). **W tym sensie G.W. Bush może mówić o sukcesie – inni poszli w jego ślady...** Prawdziwym problemem jest to, że w tych warunkach trudno o rozwiązywanie rzeczywistych problemów międzynarodowych, takich jak proliferacja broni masowego rażenia, rozprzestrzenianie pożytków płynących z globalizacji oraz ograniczanie stref nierówności i biedy, które stają się głębią dla politycznych radykalizmów i niestabilności, czy wreszcie ochrona ziemskiego środowiska naturalnego (brak sukcesu globalnych negocjacji na Bali, które zostały zablokowane przez USA). Nagroda Nobla dla Ala Gore’a za prowadzenie międzynarodowej kampanii, której celem jest zapobieżenie zmianom klimatycznym, nie

<sup>2</sup> R. Kagan, *Rosja i Chiny zagrażają światu*, „Dziennik” (Tygodnik Idei „Europa”) z 19 stycznia 2007 r. (rozmowę przeprowadził M. Nowicki). Wywiad Kagana, będący przykładem połączenia intelektualnej ignorancji z ideologiczną arogancją, niezmiennie lekceważącego stosunku do Europy, brzmiał jak przesłanie typowe dla Kalego ze znanej powieści Sienkiewicza: tylko my (USA) mamy rację, tylko nasze interesy są słuszne, tylko my mamy prawo do prowadzenia polityki siły i wydawania na zbrojenia tyle, ile wydaje reszta świata.

<sup>3</sup> N. Ferguson, *Imperium potrzebne od zaraz*, „Gazeta Wyborcza” („GW”) z 1–2 września 2007 r.

zrobiła żadnego wrażenia na administracji Busha, reprezentującej interesy wielkiego biznesu, niezależnie od tego, czy chodzi o system raketowy, czy ochronę środowiska naturalnego. Polityczny ciężar forsowania rozwiązań mogących uchronić ludzkość przed ekologiczną katastrofą (zob. raport Międzynarodowego Panelu ds. Zmian Klimatycznych ONZ z kwietnia 2007 r.) wzięła na siebie Unia Europejska<sup>4</sup>.

Z zachodniego punktu widzenia problemem wymagającym poważnej analizy i strategicznego podejścia jest geopolityczna zmiana, którą pociągnie za sobą przesunięcie punktu ciężkości w gospodarce światowej ku Azji Wschodniej. Kryzys finansowy zapoczątkowany pęknięciem bańki na rynku kredytów hipotecznych w USA oznacza, zdaniem wielu, nie tylko kres ekspansji kredytowej opartej na dolarze, ale przede wszystkim zakwestionowanie neoliberalnego podejścia do samoregulujących właściwości rynku – narodowego i światowego. **Nierównowagi stwarzane przez globalny rynek mogą mieć, czego nie chcieli dostrzec wyznawcy neoliberalizmu, groźne społeczne i polityczne konsekwencje.** Niezamierzonym efektem jest wzrost wiarygodności modelu gospodarczego łączącego polityczny autorytaryzm z silnym interwencjonizmem, który już znajduje, w swej zwulgaryzowanej wersji, naśladowców w innych częściach świata (w tym w Rosji i krajach afrykańskich). Nadmierna wiara w samoczynną równowagę rynku może doprowadzić do zmiany układu sił najpierw w gospodarce, a następnie w płaszczyźnie polityczno-strategicznej. Niektórzy dostrzegają zapowiedź tego globalnego przesunięcia w postaci ekspansji państwowych funduszy inwestycyjnych (tzw. *National Welfare Funds*) państw Azji i Bliskiego Wschodu<sup>5</sup>.

## STANY ZJEDNOCZONE – MOCARSTWO NIEPOŻYTECZNE

Mottem dla tej części „Przeglądu” niech będzie ocena zawarta w artykule wstępnym największej amerykańskiej gazety, „The New York Times”: „Powodowany strachem i ideologią, prezydent G.W. Bush pozbawił Amerykę pozycji moralnego i politycznego przywództwa, odepchnął międzynarodowe instytucje i traktaty, zhańbił globalny wizerunek Ameryki, podeptał konstytucyjne fundamenty, które chroniły naszą demokrację w czasach najtrudniejszych wyzwań. Takie postępowanie wywołało złość na świecie oraz wyobcowало nasz kraj ze świata, a przy tym nie uczyniło nas ani trochę bezpieczniejszymi”<sup>6</sup>.

Ameryka weszła w rok wyborów prezydenckich, w ostatni rok kadencji G.W. Busha. Już w 2007 roku stało się jasne, że pod jego rządami Stany Zjednoczone stały się mocarstwem niepożytecznym, czy wręcz zbytecznym. Najlepiej pokazało to doroczne badanie Transatlantic Trends jesienią 2007. Zgodnie z tymi badaniami, większość ankietowanych mieszkańców Europy, w tym Polski, uznała przywództwo USA w sprawach globalnych za „niepożądane”. To jest właściwie rewolucja

<sup>4</sup> T. Ulanowski, *Nasza planeta jest zagrożona*, „GW” z 7–9 kwietnia 2007 r.; T. Plata, *Ekologia głupcze*, „Dziennik” z 26–27 maja 2007 r.; W. Gibas, *Gore and UN panel are awarded Nobel peace prize*, „IHT” z 13 października 2007 r.

<sup>5</sup> A. Mitraszewska, *Nowa architektura gospodarcza na świecie*, „GW” z 28 stycznia 2008 r.

<sup>6</sup> *Distortions of Bush's America*, „The New York Times” z 5 stycznia 2008 r.

w postrzeganiu międzynarodowej roli Stanów Zjednoczonych. Rewolucja w porównaniu z drugą połową lat 90., kiedy to amerykańska sekretarz stanu Madeleine Albright mogła zasadnie twierdzić o Ameryce jako o *indispensable nation*. Istotnie, nawet jeśli wtedy nie zawsze i nie we wszystkim zgadzano się z Waszyngtonem, nie wyobrażano sobie świata bez amerykańskiego przywództwa. Ten radykalny spadek wiary w potrzebę amerykańskiego przywództwa nie jest antyamerykanizmem, jak chcą sobie ułatwić sprawę adwokaci hegemonii USA bez względu na jej formy i sens. Badania Transatlantic Trends wyraźnie pokazały, że zdaniem międzynarodowej opinii publicznej przywództwo amerykańskie jest niepożądane przede wszystkim ze względu na osobę prezydenta G.W. Busha i wojnę w Iraku. Ta opinia jest o tyle znamienita, że to administracja Busha wywołała wojnę w Iraku właśnie po to, aby wzmocnić i utrwalić hegemoniczną pozycję USA. Efekty okazały się odwrotne od zamierzonych. Nie mogło być inaczej, jeśli wiemy, jakie były prawdziwe przyczyny tej wojny, jak bardzo kłamano dla jej uzasadnienia, jak drastycznie łamano prawo międzynarodowe przy tej okazji, jak wiele niewinnych ofiar przyniosła ta wojna i jakie są i na długo pozostaną jej skutki dla regionu i dla samej Ameryki. Koncentrując się na wojnach w Iraku i Afganistanie, wzmagając wyścig zbrojeń, tworząc problemy międzynarodowe, zamiast je rozwiązywać, utrudniając innym rozwiązywanie globalnych problemów (na przykład walkę ze zmianą klimatu), forsując egoistyczne rozwiązania, Ameryka po raz pierwszy po II wojnie światowej stała się mocarstwem niepożytecznym z punktu widzenia interesów szerszej społeczności międzynarodowej, czy nawet tylko Zachodu.

Z tego punktu widzenia tegoroczne wybory prezydenckie w USA mają tak niewielkie znaczenie, jak rzadko kiedy. A to dlatego, że ich zasadniczy rezultat jest znany. W wyniku tych wyborów odejdzie G.W. Bush i jego administracja, ponoszący odpowiedzialność za upadek prestiżu Ameryki, za to, że stała się ona mocarstwem niepożytecznym, że świat nie potrzebuje jej przywództwa w reprezentowanej przez nich postaci. I właściwie nie jest już takie ważne, czy kolejnym prezydentem USA zostanie kobieta czy mężczyzna, biały czy czarny obywatel tego kraju, republikanin czy demokrat. Naturalnie, należałoby życzyć Ameryce i światu, aby jej system polityczny był bardziej skuteczny w selekcjonowaniu kandydatów na ten urząd, aby istotnie politycy o najlepszych kwalifikacjach merytorycznych i psychointelektualnych (aby nie decydowała o tym wielkość sumy pieniędzy zgromadzonej na potrzeby kampanii) mogli mieć szansę ubiegać się o ten wyjątkowy, także z punktu widzenia reszty świata urząd. Tym razem jednak najważniejsze będzie to, że odejdzie administracja G.W. Busha. Z ulgą odetchnie Ameryka i znaczna część społeczności międzynarodowej (no, może z wyjątkiem Rosji, bo polityka Busha ułatwiła ogromnie prezydentowi Putinowi wprowadzenie Rosji do gry). Trzeba wierzyć, że jego następcą przywróci Ameryce dobre imię i będzie prowadzić politykę, która – jak często w przeszłości – będzie kojarzyć interesy USA z interesami świata; że w ten sposób Stany Zjednoczone staną się pożądanym partnerem i przywódcą, przynajmniej dla Zachodu, że znów wspólnie z innymi będą brać aktywny udział w rozwiązywaniu głównych problemów współczesności. Warto jednak przy tym pamiętać, że nie będzie to powrót „do tej samej wody”. W latach amerykańskiej, specyficznej

*war on global terror*, która zamiast spodziewanego utwierdzenia hegemonii przyniosła erozję przywództwa i kiedy to Ameryka niejako odwróciła się od ważnych spraw międzynarodowych, doszło do istotnych zmian w światowej geopolityce. Chodzi już nie tylko o medialnie dowartościowany wzrost potęgi i pozycji Chin, lecz także o rozwój i zwiększenie roli Indii i innych dużych państw niezachodnich (na przykład Brazylii), o silnie akcentowaną przez Moskwę mocarstwową aktywność Rosji czy wreszcie o wewnętrzną konsolidację i wzrost pewności w poczynaniach UE, tej Unii, którą Waszyngton Busha próbował w latach 2002–2003 podzielić na „nową” i „starą Europę”, aby utrudnić jej samodzielność w życiu międzynarodowym. Miejmy nadzieję, że po tych wyborach Stany Zjednoczone staną się mocarstwem pożytecznym, ale przywództwo nie powróci automatycznie; trzeba będzie na nie zapracować.

Przekonanie o perspektywie powrotu Ameryki do lepszego nurtu jej tradycji polityki zagranicznej bierze się także ze zdolności Amerykanów do wyciągania wniosków z błędów, jakie czynili w przeszłości. Był to zawsze element autokorekty w amerykańskim systemie politycznym. Pragnienie zerwania ze złymi praktykami w polityce wewnętrznej i zagranicznej administracji G.W. Busha jest widoczne od samego początku w kampanii prezydenckiej. Lejtymotywym wszystkich kandydatów jest radykalna zmiana w Waszyngtonie. Dotyczy to także kandydatów partii prezydenckiej. Żaden z nich nie chce w najmniejszym stopniu być posądzony o jakiegokolwiek związki czy inspiracje pochodzące od obecnej administracji<sup>7</sup>. Pomocą w tym procesie autokorekty powinna być krytyka administracji G.W. Busha i jego polityki zagranicznej pochodząca od znanych i respektowanych znawców oraz badaczy amerykańskiej polityki. Michael Ignatieff wskazuje jednak na zagrożenie tkwiące w ideach, także amerykańskich. „**Idee utrwalone jak dogmaty są zwykle wrogiem dobrego osądu. Przeszkadza w jasnym rozeznaniu wiara w to, że polityka zagraniczna USA służy boskiemu planowi poszerzenia ludzkiej wolności**”. W przypadku Busha był to również brak zdolności do krytycznej samooceny. „Nie chodzi tylko o to, pisze Ignatieff, że prezydentowi nie zależało na zrozumieniu Iraku – nie zależało mu na zrozumieniu samego siebie. **Poczucie rzeczywistości, które mogło go uchronić od katastrofy, winno było przybrać postać dzwonka ostrzegawczego mówiącego mu, że nie wie, co robi. Wiódł zaczarowane życie, w którym nie dźwięczą żadne ostrzegawcze sygnały**”. Francis Fukuyama problem widzi nie tylko w niekompetencji i skrajnej ideologizacji polityki zagranicznej G.W. Busha. Jego zdaniem problem tkwi w ogromnej dysproporcji sił między Ameryką a innymi mocarstwami, z którą mamy do czynienia już od lat 90. Administracja Busha tylko ten problem pogłębiła, podstawą swej polityki zagranicznej uczyniła bowiem unilateralizm (w miejsce przywództwa) i zaczęła ostentacyjnie lekceważyć najrozmaitsze instytucje międzynarodowe. W opinii Fukuyamy „każdy kraj na miejscu USA, nawet demokratyczny, odczuwałby pokusę, by coraz mniej powściągliwie korzystać ze swej hegemonicznej przewagi”. To właśnie brak zewnętrznego ograniczenia był jedną z przyczyn tarapatów Ameryki. Potrzebny jest

<sup>7</sup> A. Nagourney, *Candidates of both U.S. parties call out for change*, „IHT” z 8 stycznia 2008 r.



zatem jakiś „**bardziej zrównoważony system ogólnościatowy, który pozwoliłby ograniczyć pokusę lekkomyślnego stosowania siły**”. Z pewną przykrością trzeba stwierdzić, że nawet uznani badacze stosunków międzynarodowych dopiero po irackiej lekcji dochodzą do tak oczywistego wniosku. No cóż, lepiej późno niż wcale, nawet dla Fukuyamy. Najbardziej krytyczny wobec polityki G.W. Busha, a przy tym konsekwentny i wiarygodny, bo od samego początku, jest Zbigniew Brzeziński. W swej najnowszej książce *Druga szansa* poddaje on bezlitosnej krytyce doktrynę polityki zagranicznej USA okresu Busha, której zapleczem była **leninowska i manichejska myśl neokonserwatystów**. Jej praktykę, dla której retoryka była jedynie wprowadzającą w błąd ideologiczną zasłoną, Brzeziński określa jako „**zmodernizowaną wersję imperializmu**”. Amerykańską ofertą dla świata nie może być jedynie eksport konsumpcjonizmu i nieumiarkowane użycie siły. Administrację Busha Brzeziński porównuje do tych rzymskich cesarzy, którzy doprowadzili do upadku swoje imperium. Na szczęście, kadencja „władcy” USA jest ograniczona do maksimum 8 lat. Przyszłe przywództwo Ameryki musi się opierać na koalicji z Europą i państwami Azji Wschodniej oraz promocji praw człowieka i sprawiedliwości (ale nie przy użyciu siły!) i respektowaniu różnorodności kulturowej różnych narodów i regionów świata. Najgłośniejszy w ostatnich latach herold amerykańskiej mocarstwowości i modelu życia, Thomas Friedman, uważa, że przyszła administracja musi nie tylko zmienić stosunek USA do świata, lecz także zająć się poważnie samym krajem. Ostatnio Ameryka „nie eksportuje nadziei, tylko strach”, a „**obóz w Guantanamo to po prostu Antystatua Wolności**”. „Z tym trzeba skończyć. Ale też trzeba się zabrać do naprawiania Ameryki, począwszy od jej infrastruktury: dość przelecieć się z supernowoczesnego lotniska w Zurychu na ten śmietnik, jakim jest nowojorskie La Guardia, żeby odnieść wrażenie, jakbyśmy się przenieśli w czasie ze świata Jetsonów do świata Flintstonów”. I konkluduje: „Al-Ka’idzie chodzi o 11 września, nam chodzi o 12 września, nam chodzi o 4 lipca – dlatego mam nadzieję, że każdy, ktokolwiek oprze swoją kampanię na odwołaniach do 11 września, zostanie odrzucony. **Potrzebny jest nam prezydent, który zjednoczy Amerykanów wokół jakiegoś wspólnego celu, a nie wokół wspólnego wroga. Nie stać już nas na tę głupotę!**”. Problemem dla reszty świata jest to, że to właśnie jej nie stać na głupotę Ameryki, Ameryka bowiem kosztami swych błędów zwykła obciążać inne kraje. W Stanach Zjednoczonych zaczął się zatem okres samokrytyki i objął nawet „**pożytecznych idiotów Busha**”, do których należeli przecież początkowo Ignatieff, Fukuyama i Friedman. Chodzi o zastępy ekspertów i intelektualistów, którzy propagandowo wspierali zamiar wojny przeciwko Irakowi i którzy mniej czy bardziej świadomie oddali wielkie przysługi tej administracji i obecnej wersji „kompleksu wojskowo-przemysłowego” (D. Eisenhower). Zarazem jednak na przykład Tony Judt przestrzega przed nadmiernym optymizmem: „**Amerykanie są znacznie mniej zdolni do samokrytycyzmu niż inne społeczeństwa**. Trudno ich sobie wyobrazić jako zbiorowość uznającą, że ich kraj popełnił potworne zbrodnie”<sup>8</sup>. Powodem do pewnej nadziei był jednak rozpoczynający się w Stanach

<sup>8</sup> M. Ignatieff, *Ameryka w Krainie Czarów*, „GW” z 11–12 sierpnia 2007 r.; F. Fukuyama, *Samobójcza hegemonia USA*, „GW” z 10–11 listopada 2007 r.; T. Friedman, *Ameryki nie stać na głupotę*, „GW” z 22–23

Zjednoczonych proces autorefleksji dotyczący okoliczności towarzyszących rozpoczęciu wojny z Irakiem. „**Czy historia potoczyłaby się inaczej, gdyby w lutym 2003 roku szef amerykańskiej dyplomacji Colin Powell i szef wywiadu George Tenet podali się do dymisji, miast preparować mistyfikację dla ONZ, która miała usprawiedliwić atak na Irak?** Gdyby amerykańskie media bardziej starannie weryfikowały argumenty Białego Domu, zamiast podbijać patriotyczny bębenek”, zaczęto się zastanawiać w Ameryce<sup>9</sup>.

Zanim jednak dojdzie do upragnionej przez wielu zmiany na stanowisku prezydenta USA, ów wielki kraj jest rządzony przez tego, który został dwukrotnie wybrany do tej wyjątkowej roli. Ostatni rok był kontynuacją polityki, którą znamy. Nie ma szczególnych powodów do przeprowadzenia pogłębionej analizy; wystarczy ograniczyć się do zilustrowania jej kilkoma reprezentatywnymi faktami. Sytuację obecnej administracji i samego prezydenta już od połowy 2006 roku komplikował odczuwalny kres kadencji<sup>10</sup>. G.W. Bush stracił też swego głównego sojusznika, Tony'ego Blaira, który wspierał go w najtrudniejszych sprawach. Jego siła oddziaływania słabła. Jednak w sprawie, która go najbardziej pochłaniała, to znaczy wojny w Iraku oraz wydatków na zbrojenia, nadal wykazywał znaczną skuteczność<sup>11</sup>. Administracji Busha niezmiennie udawało się wygrywać batalie o pieniądze na prowadzenie wojen w Iraku i Afganistanie, na program produkcji kolejnej generacji głowic nuklearnych, na rozwój gigantycznego i niezwykle kosztownego systemu antyrakietowego (BMD). Amerykanie byli bardzo aktywni w kreowaniu wizji zagrożenia atakiem raketowo-nuklearnym Iranu nie tylko na USA, lecz także na Europę. Wprawdzie założenie o irańskim ataku nuklearnym na państwa NATO czy Izrael mogło być racjonalnie interpretowane raczej na gruncie psychoanalizy (i w tej dyscyplinie amerykańscy specjaliści są najlepsi na świecie) niż analizy strategicznej, to jednak było ono traktowane przez wielu ekspertów, publicystów i polityków, także w Europie, wystarczająco poważnie, aby Waszyngton mógł wywierać presję na Warszawę i Pragę w celu ich zgody na budowę amerykańskich baz – elementów BMD. Straszanie Europy widmem irańskiego zagrożenia miało przyspieszyć zgodę tych stolic na rozpoczęcie budowy instalacji (radaru w Czechach i wyrzutni antyrakiet w Polsce). Taka zgoda miała być swoistą polityką faktów dokonanych. Budowa rozpoczęta za kadencji Busha musiałaby siłą inercji być kontynuowana przez jego następców. Presja amerykańskich firm zbrojeniowych na administrację

---

grudnia 2007 r.; T. Judt, *Pożyteczni idioci Busha* (wywiad przeprowadził A. Domosławski), „GW” z 26–27 maja 2007 r.; A. Applebaum, *Dlaczego Ameryka tak chce zmiany*, „GW” z 6 lutego 2008 r. (zdaniem autorki, dlatego, że „Amerykanie chcą prezydenta, który by ich jednoczył w kraju, i z którego mogliby być dumni za granicą”); Z. Brzeziński, *Druga szansa. Trzej prezydenci i kryzys amerykańskiego supermocarstwa*, przeł. M. Szubert, „Świat Książki”, Warszawa 2008.

<sup>9</sup> A. Lubowski, *Wilki w skórze reporterów*, „GW” z 10 maja 2007 r.

<sup>10</sup> C. Michalski, *Globalne polowanie na żubra, czyli początek końca politycznej potęgi George'a Busha*, „Dziennik” z 22 listopada 2007 r. Autor poddaje miazdzącej krytyce bilans polityki Busha: podzielony Zachód, przeciwnicy USA wzmocnieni, kilkakrotny wzrost ceny baryłki ropy. „Polityka to nie malarstwo. Carl Schmidt, teoria powszechnej mobilizacji, poetycka wizja galopującego żubra – wszystko to przeniesione w świat realny daje taki efekt jak próba naprawiania zegarka za pomocą siekiery i młotka”, konkluduje C. Michalski.

<sup>11</sup> E. Sarnacka-Mahoney, *Nowa głowica prezydenta*, „Dziennik” z 23 marca 2007 r.

była tak wielka, że ta zaczęła rozdzielać kontrakty na budowę poszczególnych elementów instalacji w Polsce i Czechach, zanim ukończono negocjacje i zanim zapadła oficjalna polityczna decyzja (zgoda) o ich budowie. Równie intensywny był w obu tych krajach lobbing firm zbrojeniowych, które potrafiły zjednywać sobie media czy niektórych analityków. Administracji G.W. Busha spieszyło się bardzo w sprawie systemu antyrakietowego<sup>12</sup>, coraz częściej bowiem pojawiały się głosy poważnych badaczy mówiące, że **tak zwana tarcza jest symbolem irracjonalności amerykańskiej polityki bezpieczeństwa (N. Ferguson, N. Davies)**, a wybitni eksperci wskazywali na to, co było widoczne od samego początku w tym programie: budowa systemu nie była odpowiedzią na realne zagrożenia, lecz rezultatem możliwości technologiczno-finansowych USA<sup>13</sup>. Nieoczekiwanie ostatni okres kadencji G.W. Busha stanął także pod znakiem niekorzystnych zjawisk ekonomicznych: kryzysu na rynku kredytów hipotecznych, ześlizgiwania się gospodarki USA w recesję czy wreszcie słabości dolara, a zwłaszcza bezprecedensowej erozji zaufania do amerykańskiej waluty. Po raz pierwszy w historii dolar przestał być obiektem międzynarodowego pożądanego<sup>14</sup>.

Ze spraw międzynarodowych rosnący niepokój Waszyngtonu budziły nowe tendencje, a raczej ich pogłębianie w polityce Rosji. Przedstawiciele administracji otwarcie krytykowali wycofywanie się Rosji z procesu demokratycznego oraz niektóre aspekty jej polityki zagranicznej. **Zaostrzenie tonu w stosunkach z Rosją miało jednak swoje granice. Waszyngton nie miał tutaj zbyt wielkiego pola manewru**, ponieważ potrzebował współpracy Moskwy w wielu sprawach i nie chciał ryzykować jej marginalizacji lub zepchnięcia na pozycje otwarcie wrogie Zachodowi (np. w ukrytym, niepisanym sojuszu z Chinami), podczas gdy Moskwie udało się stworzyć wrażenie, że dobre stosunki z Waszyngtonem nie są jej potrzebne.

Aktywność i skuteczność międzynarodową Stanów Zjednoczonych nadal ograniczały **trzy wojny**: wojna w Iraku, wojna w Afganistanie i tak zwana *global war on terror*. Wszystkie inne sprawy w polityce zagranicznej USA były widziane przez pryzmat tych wojen lub im podporządkowane. G.W. Bush zdawał się nie tyle prezydentem mocarstwa pretendującego do ponoszenia globalnej odpowiedzialności za stan spraw międzynarodowych, ile głównodowodzącym w tych trzech wojnach. Jego aktywność, charakter publicznych wystąpień i retoryka znamionowały nadrzędność wojny nad polityką. Prezydent Bush nie uznawał politycznych rozwiązań. Opór i problemy należało rozwiązywać przy użyciu siły. Takie podejście było widoczne nie tylko wobec Iraku, lecz także Afganistanu i Iranu. Przeciwnika należy militarnie zniszczyć, a następnie... zorganizować „wolne wybory”. Dwuczynnikowy model: „miażdżąca siła” (*overwhelming force*) oraz „wolne wybory” po jej użyciu były cha-

<sup>12</sup> J. Bielecki, *Ameryce zależy na szybkich negocjacjach*, „Rzeczpospolita” („Rz”) z 14–15 kwietnia 2007 r.; N. Kulish, *Czechs like the U.S. but that radar...?*, „IHT” z 29–30 września 2007 r.

<sup>13</sup> Zob. np. W.K.H. Panofsky, *Nuclear insecurity*, „Foreign Affairs”, wrzesień–październik 2007.

<sup>14</sup> R. Woś, *Bunt nacierzy przeciw USA*, „Dziennik” z 19 listopada 2007 r.; J. Slater, C. Cummins, *Ara-bowie chcą porzucić dolara*, „Dziennik” („The Wall Street Journal” Polska) z 22 listopada 2007 r.; M. Baker, *Biedni Amerykanie – dziś już nikt nie patrzy z pożądaniem na ich dolary*, „Dziennik” („The Wall Street Journal” Polska) z 24–25 listopada 2007 r.; S.G. Stolberg, D.M. Herszenhorn, *Bush acknowledges challenges to U.S. economy*, „IHT” z 8 stycznia 2008 r.



rakterystycznym dla prezydenta Busha i jego otoczenia sposobem rozwiązywania problemów postrzeganych jako zagrożenia dla bezpieczeństwa i interesów USA.

Rozwój sytuacji w Iraku zaczynał z wolna przynosić rezultaty, na których zależało administracji G.W. Busha. Stało się to za sprawą zmiany strategii wojskowej zastosowanej od początku 2007 roku. Chodziło o istotne zwiększenie kontyngentu wojskowego – o 30–40 tys. żołnierzy – aby z większą skutecznością zwalczać wszelkie rodzaje oporu wobec obecności USA i popieranego przez Waszyngton reżimu. Za cenę większej liczby zabitych nieprzyjaciół Amerykanom udało się poprawić stan bezpieczeństwa w Bagdadzie i okolicach. O determinacji Stanów Zjednoczonych przełamania oporu za wszelką cenę świadczyły potężne bombardowania peryferyjnych dzielnic Bagdadu, w których ukrywali się rebelianci, jeszcze w styczniu 2008 r.<sup>15</sup> Sytuacja przypominała trochę kraje Europy Środkowej po II wojnie światowej. Po kilku latach bezwzględnej walki z opozycją antykomunistyczną nowej władzy udało się przekonać społeczeństwo o bezcelowości dalszego oporu i rozciągnąć kontrolę nad życiem kraju. Czynnikiem rozstrzygającym o „zwycięstwie” i zapewniającym jego „trwałość” była wszelako obca obecność wojskowa i polityczna. Amerykanie nie kryli – o czym świadczą kilkakrotne wypowiedzi sekretarza obrony Roberta Gatesa – że będą musieli pozostać w Iraku przez „dziesięciolecia”. Dla porównania: w pokonanych Niemczech wojska USA pozostawały krótko ze względu na potrzebę utrzymania kontroli; już po kilku lat ich stacjonowanie w RFN było niezbędne ze względu na zagrożenie ze strony Związku Sowieckiego. Symptomatyczne były też słowa samego prezydenta, który w sposób do złudzenia przypominający sytuację Czechosłowacji po 1968 roku mówił, że **„Amerykanie są w Iraku na zaproszenie irackich władz i pozostaną w tym kraju tak długo, jak długo rząd iracki będzie ich o to prosił”**. Dla pełnej jasności: rząd zainstalowany przez Waszyngton bez wojskowej obecności USA nie mógłby przetrwać ani tygodnia.

Ta swoista stabilność i normalizacja po iracku nie oznacza, że „pokój panuje w Bagdadzie” (aby strawestować znane słowa wypowiedziane kiedyś przez rosyjskiego posła w Paryżu). Postęp tam osiągany jest względny, co potwierdza zamiar wycofania z Iraku przez USA latem 2008 r. zaledwie części wojsk (20–30 tys.) i pozostawienia kontyngentu w wielkości sprzed *surge*, czyli na poziomie około 130 tys. Zmniejszeniu uległa liczba zamachów i spadł poziom śmiertelności wśród ludności cywilnej. Osłabła ostrość walk między szyitami i sunnitami. Mimo to Waszyngton tracił sojuszników w Iraku. Kolejne kraje opuszczały „koalicję chętnych”, tracąc przekonanie do sensu tej wojny i ich w niej udziału.

W dalszym ciągu emocje i sprzeciw opinii publicznej budziły koszty wojny, do których należały także sposoby, jakimi Amerykanie chcieli sobie zapewnić panowanie w tym kraju. Rzecz nie tylko w stosowaniu przemocy na wielką skalę, co zawsze musi pociągać duże straty wśród ludności cywilnej. Opinię publiczną szokowały szczególnie przypadki ujawniające stosunek żołnierzy amerykańskich do miejscowej ludności, znany z innych niechlubnych wojen toczonych w przeszłości przez

<sup>15</sup> N. Hodge, *US steps up air strikes against Iraqi insurgents*, „Jane’s Defense Weekly” z 16 stycznia 2008 r.

inne mocarstwa. Chodzi m.in. o zabawę żołnierzy USA polegającą na strzelaniu „na przynętę” do cywilów, w tym dzieci (pozostawianie w widocznym miejscu jakiejś amunicji, a następnie zabijanie tych, którzy ją podnosili z ziemi, mogli bowiem być już w tym momencie uważani za „rebeliantów”)<sup>16</sup>. Odrębnym problemem było łatwe strzelanie na oślep wokół siebie przez członków osławionych prywatnych przedsiębiorstw militarnych (*private military companies* – PMC), takich jak np. **Blackwaters**, którzy w pojedynczych incydentach potrafili zabić kilkanaście i więcej przypadkowych osób. Szczególny sprzeciw budziła bezkarność sprawców tych dramatów; PMC nie podlegają prawu międzynarodowemu ani też prawu wewnętrznemu Iraku (jeśli można poważnie mówić o czymś takim) i USA. Dochodzenia w Kongresie USA w sprawie poczynań amerykańskich PMC w Iraku okazywały się niekonkluzywne, gdyż zbyt potężne interesy stały za ich nietykalnością. Prywatne militarne kompanie (druga siła wojskowa w Iraku po kontyngencie sił zbrojnych USA) dbały przecież o bezpieczeństwo nie tylko amerykańskiego biznesu – instalacje naftowe! – lecz także amerykańskich dowódców wojskowych, dyplomatów czy polityków odwiedzających ten kraj, aby zobaczyć postępy w procesie „stabilizacji”<sup>17</sup>. Amerykanie nie chcieli też zrezygnować z kwestionowanych przez międzynarodową opinię publiczną sposobów traktowania pojmanych nieprzyjaciół. Prezydent Bush osobiście bronił „prawa” do specjalnych sposobów przetrzymywania i przesłuchiwania osób podejrzewanych o zbrojny opór wobec obecności USA w Iraku czy Afganistanie. Ułaskawił też swego byłego doradcę, który został skazany za spowodowanie przecieku do prasy ujawniającego tożsamość amerykańskiego dyplomaty pracującego także dla wywiadu USA, z zemsty za to, że małżonek dyplomaty sprzeciwiał się głośno wojnie z Irakiem (por. problem odpowiedzialności za upublicznienie raportu z rozwiązania WSI w Polsce). Kolejne raporty „specjalnych komisji” ujawniały ignorowanie przez administrację Busha ostrzeżeń formułowanych przez instytucje wywiadowcze USA przed wojną z Irakiem i wskazywały brak powodów, którymi administracja USA zamierzała uzasadnić planowaną wojnę. Dość rozbieżne były natomiast informacje odnoszące się do siły Al-Ka’idy i stopnia zagrożenia, jakie stwarzała dla bezpieczeństwa USA, czy raczej ich interesów na Bliskim Wschodzie. O ile rok 2006 był jeszcze uważany za „bardzo dobry” dla Al-Ka’idy, o tyle od połowy 2007 roku odnotowywano zmniejszanie się poziomu aktywności terrorystycznej; trudno było przy tym określić związek między sytuacją w Iraku a stopniem zagrożenia ze strony organizacji terrorystycznych. Z informacji pochodzących od agencji wywiadowczych wynikało, że terroryści z krajów islamskich chętniej garnęli się do wojny w Afganistanie, choć i tam na szczęście nie mogli się pochwalić większymi „sukcesami”. Nie mogło to zmienić podstawowej prawdy, że motywowani religijnie terroryści nie byli w stanie zagrozić nawet państwom islamskim. Mogli przeprowadzać zamachy i straszyć, ale nikt nie dawał im szans na przejście władzy w jakimkolwiek kraju islamskim. Nie przeszkadzało to tym politykom i ideologom, którzy – jak G.W. Bush czy N. Podhoretz („islamofaszyzm”)

<sup>16</sup> M. Zawadzki, *Kowboje i myśliwi jadą na wojnę w Iraku*, „GW” z 8 października 2007 r.

<sup>17</sup> Z. Parafianowicz, *Amerykańskie psy wojny ponad prawem*, „Dziennik” z 31 października–1 listopada 2007 r.

– istnieniem terrorystów uzasadniali globalną „politykę strachu”<sup>18</sup>. Do pewnego stopnia nowym elementem sytuacji w Iraku były bombardowania baz ukrywających się tam powstańców kurdyjskich przez lotnictwo tureckie. Każdorazowo lotnictwo USA otwierało przestrzeń powietrzną Iraku dla tych operacji, co było ceną za powstrzymanie się Turcji od inwazji lądowej, której perspektywą straszyla co jakiś czas tureccy dowódcy wojskowi<sup>19</sup>. Kolejnym efektem tej wojny jest dramat humanitarny irackich uchodźców opuszczających swój kraj ze względu na toczącą się w nim wojnę. W 2007 roku było ich już ponad 1,5 mln (z tego niemal połowa znalazła się w Syrii). Niechętnie przyjmowani w krajach Bliskiego Wschodu, pozbawieni pomocy międzynarodowej, byli niezauważaną ofiarą tej wojny<sup>20</sup>.

### AFGANISTAN, IRAK, IRAN, PAKISTAN...?

Sytuację na Środkowym Wschodzie będącym obszarem aktywnej amerykańskiej obecności wojskowej od 2001 roku można określić jako „**Trwałą Niestabilność**” (parafrazując nazwę operacji USA w Afganistanie – *Enduring Freedom*). Względna poprawa sytuacji w Iraku dawała jedynie umiarkowane powody do satysfakcji ze względu na brak przełomu w stabilizowaniu sytuacji w Afganistanie. Tam także za cenę ogromnej liczby zabitych talibów i innych przeciwników obcej obecności wojskowej w tym kraju udawało się utrzymywać przy władzy rząd Karzaja, lecz termin „przy władzy” był tu nadal umowny. Bez Amerykanów i NATO żywot rządu Karzaja byłby jeszcze krótszy niż rządu Malikiego w Bagdadzie po wyjściu wojsk USA. Sytuacja w Afganistanie była niejednoznaczna, a medialny przekaz mógł ją nieco zafałszowywać. Z jednej strony sukcesy talibów i ugrupowań terrorystycznych były istotnie ograniczone, a ich straty ludzkie ogromne. Pewne postępy w stabilizacji można uznać za wyłączną zasługę misji NATO (ISAF) i wojsk amerykańskich. Z drugiej strony był to najbardziej krwawy rok w Afganistanie od zakończenia wojennej fazy *Enduring Freedom*. Problemem pozostawało dążenie USA do siłowego narzucenia własnej koncepcji ustabilizowania sytuacji w tym podzielonym kraju. Powodowane przez Amerykanów straty wśród ludności cywilnej niezmiennie wywoływały niechęć czy wrogość oraz sprzyjały oddziałom zwalczającym obecność międzynarodową. **Wojska USA i NATO zabijały więcej cywilów niż talibowie**. Zarazem w wielu miejscach ludność miejscowa ceniła sobie pomoc udzielaną siły międzynarodowe, m.in. w ramach PRT, czyli Regionalnych Zespołów Odbudowy. Czynnikiem oddalającym perspektywę stabilności było jednak zdecydowane odrzucenie przez Amerykanów możliwości politycznego rozwiązania poprzez porozumienie się z umiarkowanymi odłamami talibów i włączenie ich do współodpowiedzialności za bezpieczeństwo i odbudowę Afganistanu. Skłaniali się ku temu nie tylko Europejczycy, lecz także sam Hamid Karzaj. Różnice pomiędzy USA a ich sojusznikami w podejściu do prowadzenia tej wojny ujawniały się w przeciekających do mediów krytycznych uwagach szefa Pentagonu Roberta

<sup>18</sup> I. Burum, *Kto się boi islamofaszystów*, „GW” z 1–2 grudnia 2007 r.

<sup>19</sup> D. Warszawski, *Ciężka ręka Ankary*, „GW” z 27–28 października 2007 r.

<sup>20</sup> M. Kazimierzcyk, *Gdzie uciekną Irakijczycy*, „GW” z 6–7 października 2007 r.

Gatesa na temat ich rzekomej niezdolności do udziału w takiej wojnie. Ze swej strony Europejczycy uważali, że lepiej się nie uczyć od Amerykanów ich sposobów osiągnięcia zwycięstwa. Te różnice miały wpływ na wizerunek NATO w Afganistanie oraz na ocenę perspektywy sukcesu Sojuszu w tym kraju. Nieoczekiwanie odległa geograficznie i nieposiadająca – wbrew retoryce G.W. Busha i jego dworskich analityków – strategicznego znaczenia wojna stała się być albo nie być dla NATO<sup>21</sup>. Przypomnijmy raz jeszcze, że przyczyną tej sytuacji była operacyjna niefrasobliwość USA w pierwszym okresie wojny, niewłaściwe metody jej prowadzenia oraz **błędne zdefiniowanie celu, którym miało być absolutne zwycięstwo** (żadnych kompromisów z przeciwnikiem, talibami, którzy reprezentowali przecież niemalą część Afgańczyków)<sup>22</sup>.

Niezdolność administracji G.W. Busha do poszukiwania politycznych rozwiązań była przyczyną napięcia wokół **Iranu**. W celu zastraszenia Teheranu prezydent Bush uciekał się nie tylko do standardowej już groźby jednostronnego ataku na Iran (masowych lub „chirurgicznych” bombardowań tego kraju), ale wręcz do „**groźby wybuchu III wojny światowej**”. Budziły najwyższe zdumienie brak odpowiedzialności i arogancja najpotężniejszego mocarstwa na świecie uzurpującego sobie prawo do podporządkowania innego państwa nawet za cenę doprowadzenia do nowej wojny światowej. Po raz ostatni tego typu pogrożki formułowali przywódcy sowieccy w szczytowych latach zimnej wojny. Iran był ostatnim państwem, które stało na przeszkodzie w ułożeniu geopolitycznego porządku i układu sił na „szerszym Bliskim Wschodzie” zgodnie z wizją tej administracji. Problem tkwił nie tyle w tym, że autokratyczny, szyicki Iran nie budził sympatii i zaufania swych sąsiadów, zwłaszcza sunnickich szejków i monarchów w Zatoce Perskiej oraz sojuszników USA w tym regionie świata, czy w tym, że prezydent Ahmadineżad dopuszczał się haniebnych wypowiedzi pod adresem Izraela. Jest przy tym rzeczą znamionną, że żadnej obawy przed Iranem nie odczuwała sąsiadująca z nim Turcja, która wykazywała zrozumienie dla jego programu rozwoju energetyki jądrowej (wypowiedź premiera Erdogana na monachijskiej konferencji o bezpieczeństwie, 9 lutego br.). Problem tkwił w tym, że Teheran stanowił wyzwanie dla interesów USA w tym regionie (także w „rządzonym” przez szyitów Iraku!) oraz był punktem odniesienia dla kontestatorów polityki Stanów Zjednoczonych w tej części świata. **Potężnym ciosem w wiarygodność kampanii Busha na rzecz militarnej rozprawy z Iranem był raport National Intelligence Estimate z listopada 2007 r.** W ocenie wspólnoty wywiadowczej USA (kilkunastu agencji wywiadowczych) Iran nie tylko wstrzy-

<sup>21</sup> Z. Parafianowicz, *Kanada: Przyślijcie posiłki albo porzucimy Afganistan*, „Dziennik” z 1 lutego 2008 r.

<sup>22</sup> M. Bosacki, *USA wściekle na Europę*, „GW” z 13 grudnia 2007 r.; W. Jagielski, *General „Bombowiec” rozsierdza Afgańczyków*, „GW” z 4 lipca 2007 r.; A. Talaga, *Jak przegrać wojnę? Zabijać cywili*, „Dziennik” z 17–18 listopada 2007 r.; I. Eland, *Każda śmierć cywila w Iraku i Afganistanie zmniejsza szanse na zwycięstwo Zachodu*, „Dziennik” z 15 listopada 2007 r.; M. Sterlingow, M. Wąs, *Jak nie zabijać w Afganistanie. Śmierć na Końcu Świata*, „GW” (Duży Format) z 8 października 2007 r.; B. Rubin, *Nikt nie wygra tej wojny* (rozmawiał W. Jagielski), „GW” z 13–14 października 2007 r.; W. Jagielski, M. Górka, *Talibowie, pogadajmy*, „GW” z 10 października 2007 r.; M. Górka, *NATO boi się klęski*, „GW” z 13–14 października 2007 r.

mał jeszcze w 2003 r. swój program nuklearny w części mogącej doprowadzić do uzyskania broni nuklearnej. Wywiad USA stwierdzał zarazem, że nawet w razie wznowienia tego programu Iran nie będzie w stanie osiągnąć zdolności do produkcji takiej broni przed 2015 rokiem. Jednocześnie wywiad amerykański zauważał, że Teheran, wbrew dominującej w USA opinii, kieruje się w swym postępowaniu raczej racjonalnymi przesłankami niż względami religijno-ideologicznymi. W impasie znajdował się także irański program budowy rakiet balistycznych, który zatrzymał się na mocno niedoskonałych raketach średniego zasięgu. Tak jednoznaczne zdezawuowanie irańskiej polityki administracji Busha wywołało rozpaczliwy kontratak jej rzeczników i zwolenników starających się z kolei podważyć wiarygodność wywiadu USA. Niestety, wbrew temu, co wynikało z raportu, oraz głosom wielu doświadczonych ekspertów administracja Busha nie była zdolna do zmiany dotychczasowej polityki. Zamiast sugerowanego stopniowego rozwoju kontaktów z Teheranem i próby wciągnięcia Iranu w tworzenie regionalnego systemu bezpieczeństwa i współpracy uwzględniającego w zrównoważony sposób interesy wszystkich państw regionu, Waszyngton postawił na kontynuację strategii militarnego powstrzymywania tego kraju. Condoleezza Rice powtarzała mantrę tej administracji: „Iran stanowi największe strategiczne wyzwanie dla Stanów Zjednoczonych i takiego kształtu Bliskiego Wschodu, który jest naszym życzeniem”. Jedyłą strategią pozostawało militarne osaczenie Iranu, w tym wielkie dostawy broni do państw Zatoki oraz kontynuacja programu BMD (nacisk na Polskę, aby zgodziła się przyjąć bazę BMD), wzmacnianie podziałów w świecie arabskim, a także mobilizowanie międzynarodowej presji na Teheran poprzez kolejne sankcje. Wszystko to, zdaniem analityków, musiało prowadzić do wzrostu napięcia i ryzyka dalszej destabilizacji w regionie. W Waszyngtonie najwyraźniej nie zdawano sobie sprawy z tego, że taka polityka nie służyła dobrze temu, o co także w niej powinno chodzić, to znaczy trwałemu bezpieczeństwu Izraela, ponieważ podsycala wrogość świata arabskiego wobec państwa żydowskiego<sup>23</sup>. Do bezpośrednich rozmów USA–Iran, bez warunków wstępnych, wzywał szef MAEA, Muhammad al-Barada’i.

„**The world’s most dangerous place**” – tak został określony w tygodniku „The Economist” (z 5 stycznia 2008 r.) **Pakistan** po grudniowym zabójstwie byłej premier Benazir Bhutto. Decyzja Bhutto, która zdecydowała się powrócić do kraju po kilku latach dobrowolnej emigracji, aby wziąć udział w przewidzianych na styczeń wyborach, była od początku obciążona tego rodzaju ryzykiem. Jej powrót był rezultatem amerykańskiego planu podziału władzy politycznej w Pakistanie, który znajdował się na skraju wojny domowej z powodu rosnącego oporu wobec autorytarnych rządów gen. Musharrafa uwikłanego w pomoc Stanom Zjednoczonym w ich wojnę w Afganistanie. Strategicznie słuszny wybór miał swoją cenę w posta-

<sup>23</sup> V. Nasr, R. Takeyh, *The costs of containing Iran. Washington’s misguided new Middle East policy*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2008; B. Knowlton, *Nuclear armed Iran risks ‘World War III’, Bush says*, „IHT” z 17 października 2007 r.; S. Lee Myers, *New analysis: New intelligence report transforms U.S. debate over Iran*, „IHT” z 4 grudnia 2007 r.; M. Zawadzki, *USA zbroją Arabów*, „GW” z 30 lipca 2007 r.; R. Stern, *We can beat Iran – but not by fighting*, „IHT” z 9 stycznia 2008 r.; M. Brzezinski, R. Takeyh, *The time for threats and insults is past*, „IHT” z 11 stycznia 2008 r.



ci wewnętrznego niezadowolenia. Z kolei presja zewnętrzna, zwłaszcza USA, na przeprowadzenie wyborów w celu legitymizacji rządów w tym kraju niosła ze sobą niebezpieczeństwo niestabilności. „Demokratyczne” rządy pani Bhutto raczej nie miały szans na zapanowanie nad sytuacją. Jakiś rodzaj kompromisu, a przynajmniej nowej dekoracji wydawał się niezbędny dla spacyfikowania skłębionych emocji i zapanowania nad klimatem rebelii w różnych częściach kraju. Plan kooptacji partii Bhutto do systemu władzy wydawał się rozsądny, nawet jeśli apele o szybkie przywrócenie demokratycznych procedur w Pakistanie stwarzały wrażenie hipokryzji lub braku wyobraźni. Śmierć Benazir Bhutto pokrzyżowała te zamiary i postawiła pod znakiem zapytania przyszłość Pakistanu. Strategiczny ciężar tego problemu jest zbyt oczywisty, aby wymagał w tym miejscu rozwinięcia (bezpieczeństwo potencjału nuklearnego, sytuacja geostrategiczna w regionie, wojna w Afganistanie i znaczenie kontroli nad pograniczem afgańsko-pakistańskim dla losów tej wojny). Bilans amerykańskiego zaangażowania w środkowej Azji w 2007 roku wyglądał wyjątkowo niepomyślnie. Rosły jego polityczne i materialne koszty, brak było perspektyw postępu w rozwiązywaniu zapalnych problemów, a na nową politykę USA wobec regionu trzeba poczekać do zmiany administracji w 2008 r.<sup>24</sup>

## UE – TRAKTATOWE ODRODZENIE I POLITYCZNE RYWALIZACJE

„Celem Unii jest wspieranie pokoju, jej wartości i dobrobytu jej narodów. (...) W stosunkach zewnętrznych Unia umacnia i propaguje swoje wartości i interesy oraz wnosi wkład w ochronę swoich obywateli. Przyczynia się do pokoju, bezpieczeństwa, zrównoważonego rozwoju na Ziemi, do solidarności i wzajemnego szacunku między narodami, do swobodnego i uczciwego handlu, do wyeliminowania ubóstwa oraz do ochrony praw człowieka, w szczególności praw dziecka, a także do ścisłego przestrzegania i rozwoju prawa międzynarodowego, a w szczególności zasad Karty Narodów Zjednoczonych” (art. 2, par. 1 i 5 Traktatu Lizbońskiego z 13 grudnia 2007 r.).

Uzgodnienie w czasie czerwcowego szczytu w Brukseli, a następnie podpisanie już zrehabilitowanego Traktatu reformującego (rewizyjnego) na szczycie w Lizbonie 13 grudnia 2007 r. było jak powiew optymizmu. UE bardzo potrzebowała sukcesu po fiasku traktatu konstytucyjnego i innych porażkach, które były jej udziałem w ostatnich latach. Tym razem górę wzięła wiara w Europę i przekonanie, że państwom i narodom członkowskim jest potrzebna silniejsza Unia. Na wysokości zadania stanęły obie prezydencje: niemiecka, która doprowadziła do dobrego kompromisu w Brukseli, i portugalska, która ten kompromis potrafiła obronić w postaci gotowego traktatu. Polityczny wstrząs, a następnie impas wywołany poprzednią porażką był tak głęboki, że państwa członkowskie zgodziły się na przyjęcie wszystkich istotnych postanowień tak wcześniej krytykowanego traktatu konstytucyjnego w nowym dokumencie. Zresztą czas, który upłynął od podpisania wiosną 2004 r.

<sup>24</sup> R. Cohen, *Losing Pakistan*, „IHT” z 7 listopada 2007 r.; J. Schell, *Bush, Pakistan and the bomb*, „IHT” z 15 listopada 2007 r.; R. Cohen, *A Pakistani death, an American failure*, „The New York Times” z 5 stycznia 2008 r.

traktatu konstytucyjnego, raczej potwierdził ich trafność i odwagę jego głównych, także wcześniej krytykowanych autorów. Valéry Giscard d'Estaing miał powody do satysfakcji.

**Zasadnicze postanowienia nowego traktatu dotyczą spraw instytucjonalnych oraz wspólnej polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony.** Przewidziano nową zasadę podejmowania decyzji w Radzie UE wykorzystującą podwójną większość: 55% państw, które reprezentują 65% ludności UE. Nowy system głosowania będzie wprowadzany stopniowo. Unia może się stać, jeśli taka będzie jednorodna wola jej państw członkowskich, systemem wspólnej obrony; traktat wprowadza obowiązek udzielania sobie pomocy przez państwa UE w razie zbrojnej agresji na jedno z nich; utrzymano prymat NATO dla bezpieczeństwa tych państw UE, które są członkami Sojuszu. Członków Unii już teraz obowiązuje zasada solidarności w sytuacjach nadzwyczajnych (na przykład poważnych ataków terrorystycznych). Zasada solidarności została także przywołana w kontekście bezpieczeństwa energetycznego. Traktat ustanawia funkcję wybieralnego przewodniczącego Rady Europejskiej („prezydenta”), który będzie przewodniczył jej pracom, zapewniając w ten sposób ich ciągłość, oraz reprezentować Radę na zewnątrz. Niezależnie od tego utworzone zostanie stanowisko Wysokiego Przedstawiciela UE ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa („minister spraw zagranicznych”); stanowisko powstanie z połączenia funkcji dotychczasowego przedstawiciela ds. WPZiB oraz komisarza ds. stosunków zewnętrznych. Nowy Wysoki Przedstawiciel będzie miał do dyspozycji Europejską Służbę Działań Zewnętrznych („unijną dyplomację”), która już odąd będzie stale obecna („stałe delegacje”) w 130 krajach. Precyzyjnie określono zadania ESDP, a zwłaszcza misje, które UE będzie mogła podejmować na zewnątrz (w tym operacje „przywracania pokoju”)<sup>25</sup>. Traktat reformujący utrzymuje możliwość współpracy wzmocnionej i strukturalnej obejmującej te państwa UE, które chcą i mogą pogłębiać proces integracji, także w sferze podejmowania wspólnych przedsięwzięć w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony. Wiarygodności ESDP poprzez wzmacnianie zdolności wojskowo-operacyjnych ma służyć powołana już wcześniej Europejska Agencja Obrony. Traktat podkreśla zasady pomocniczości i proporcjonalności w działalności Unii oraz potwierdza poszanowanie tożsamości narodowej jej członków. Ze względu na opór części państw, w tym Polski, zrezygnowano z wprowadzonych w „konstytucji” symboli unijnych, takich jak flaga i hymn. Polska, początkowo silnie przeciwna systemowi podwójnej większości (w miesiącach poprzedzających przyjęcie traktatu Warszawa upierała się przy systemie jednoczynnikowym opartym na pierwiastku z liczby ludności, lansując hasło „pierwiastek albo śmierć”<sup>26</sup>, które w postaci „Quadratwürzel oder Tod” robiło wrażenie w niemieckiej prasie), zgodziła się w końcu na nowy system za cenę utrzymania

<sup>25</sup> Zgodnie z art. 28b, chodzi o „wspólne działania rozbrojeniowe, misje humanitarne i ratunkowe, misje wojskowego doradztwa i wsparcia, misje zapobiegania konfliktom i utrzymywania pokoju, misje zbrojne służące opanowywaniu kryzysów, w tym misje przywracania pokoju i operacje stabilizacji po zakończeniu konfliktów. Wszystkie te misje mogą przyczyniać się do walki z terroryzmem, w tym poprzez wspieranie państw trzecich w zwalczaniu terroryzmu na ich terytoriach”.

<sup>26</sup> E. Ośniecka-Tamecka, *Pierwiastek jest (naj)lepszy*, „GW” z 22 czerwca 2007 r.

nia mechanizmu z Joany, którego przedstawiciele naszego kraju najwyraźniej nie rozumieli, w istocie bowiem nie daje on Warszawie mocy blokującej.

Traktat Lizboński jest ważnym krokiem w procesie konsolidacji instytucjonalnej Unii Europejskiej oraz umacniania jej pozycji jako mocarstwowego, choć zbiorowego uczestnika stosunków międzynarodowych i globalnego układu sił. Jednocześnie wyższy poziom spójności osiągnięty dzięki temu dokumentowi umożliwia dalsze rozszerzenie Unii, choć ów proces ulegnie spowolnieniu. Dyskusja o granicach UE (o granicy rozszerzenia) będzie jednak trwać, a jej konkluzje trudno dzisiaj przesądzić. Wzrost wewnętrznej spójności UE będzie zawdzięczać nie tylko traktatowi reformującemu, lecz także rozszerzaniu się Unii Gospodarczo-Walutowej i niekwestionowanemu sukcesowi, jakim stało się euro, również jako waluta światowa, oraz rozszerzeniu strefy Schengen, 21 grudnia 2007 r., o kolejne państwa członkowskie UE (z Europy Wschodniej). Wszystko to w sumie będzie także konsolidować europejską solidarność i tożsamość Unii. Dzięki przynależności do UE jej obywatele będą w tym samym stopniu zainteresowani jej sukcesem, gdyż od jej powodzenia będzie w rosnącym stopniu zależeć ich pomyślność i przyszłość. Pojęcie „Europejczycy” otrzymało solidne, traktatowe i materialne podstawy, najmocniejsze od chwili pojawienia się w historii narodów naszego kontynentu, to jest od zwycięskiej bitwy pod Poitiers w 732 roku, stoczonej przez oddziały Karola Młota z islamskimi przybyszami zza Pirenejów<sup>27</sup>.

Pozostał drobiazg... a mianowicie ratyfikacja Traktatu Lizbońskiego przez wszystkie państwa członkowskie.

Traktat powinien położyć kres niemądrej dyskusji o UE jako superpaństwie czy imperium. Taka perspektywa nigdy nie była realistyczna, nikt też tego naprawdę nie chciał i nie proponował. Ani zakłęcia politycznych filozofów, ani „śmiałe” wizje polityków i komentatorów nie są w stanie tego zmienić. Państwa narodowe tworzące UE nie tracą swej witalności i nikt nie chce się ich pozbywać. Unii będzie w Europie i w ich życiu tyle, na ile one pozwolą. Straszanie brukselskim Lewiatanem pozostanie retorycznym zabiegiem początkujących publicystów i nieudolnych polityków, którzy własną niekompetencją będą tłumaczyć unijnymi rygorami. Rozwój integracji w ramach UE będzie odbywać się stopniowo i tylko w odpowiedzi na pojawiające się problemy, których rozwiązanie będzie łatwiej osiągnąć wspólnie niż osobno, a których najczęściej nie sposób przewidzieć. Niezbyt rozsądna wydaje się w tym kontekście lizbońska decyzja Rady Europejskiej o powołaniu „grupy mędrców”, która ma się zastanowić nad kształtem Unii w latach 2020–2030, nad przyszłymi wyzwaniem i jej granicami. Rozstrzygnięcie takich spraw należy zostawić tym, którzy będą odpowiedzialni za losy Europy i jej narodów w tamtym czasie. Zainicjowana w 2000 roku przez Joschkę Fischera dyskusja o *finalité* UE pokazała jałowość takich prób.

Tymczasem Unia Europejska jest sceną jak najbardziej tradycyjnych rywalizacji o przywództwo i wpływ na politykę europejską toczonych przez jej główne mocarstwa i ich ambitnych przywódców. W 2007 roku odszedł najbardziej ambitny eu-

<sup>27</sup> V. Giscard d'Estaing, *Przed wszystkim jesteśmy Europejczykami*, „Dziennik” z 13 grudnia 2007 r.; F. Cameron, *Traktat lizboński daje Europie broń*, „Dziennik” z 17 grudnia 2007 r.

ropejski przywódca ostatniej dekady, Tony Blair. Historycy i myśliciele polityczni wystawiają mu bardzo złe świadectwo. John Gray napisał: „**Mesjanistyczna pycha Blaira wpędziła Wielką Brytanię w awanturę iracką, kryminalne fiasko, z którym już zawsze będzie kojarzony.** (...) Jeśli Blair był neoliberałem z oportuniźmu, to neokonserwatyzm miał we krwi. Przyjmując apokaliptyczną Bushowską koncepcję «wojny z terrorem», ograniczył tradycyjne brytyjskie swobody w stopniu, którego Thatcher nigdy nie brała pod uwagę. (...) Przekonanie o potędze amerykańskich batalionów jest dla niego artykułem wiary. (...) Przeoczył fakt, że wraz z postępami globalizacji na świecie rodzą się inne mocarstwa, co prowadzi do utraty hegemonii przez Amerykę. Proces ten uległ przyspieszeniu na skutek fiaska irackiego, w którym Blair odegrał rolę lojalnego współnika»<sup>28</sup>. **Podobnie druzgocącą opinię „wzorowego kamerdynera” Busha wystawił Blairowi Timothy Garton Ash:** „Poszliśmy na tę wojnę z fałszywą wizją składów broni masowego rażenia i bez stosownego mandatu prawnego ani politycznego. Hańbą było nieprzygotowanie się na prawdopodobne konsekwencje. Trudno sobie wyobrazić, by było gorzej niż za Saddama Husajna – teraz jest. Setki tysięcy ludzi zginęły lub zostały okaleczone i nie widać temu końca. (...) A setki miliardów dolarów roztrwonione na wojnę i okupację mogły polepszyć los wielu biednych tego świata”. Z tej sprawy T.G. Ash wyprowadza **trzy nauki:** „Po pierwsze, nigdy więcej nie wolno nam aż tak nadużyć idei liberalnego interwencjonizmu. (...) Po wtóre, **tylko silna, przemawiająca jednym głosem Europa może stać się strategicznym partnerem, którego Stany Zjednoczone tak rozpaczliwie potrzebują.** Po trzecie, żeby Europa była silna, brytyjski premier musi pognać niepochojących z wyboru baronów prasowych, którzy dyktują dziś europejską politykę Wielkiej Brytanii»<sup>29</sup>. Los Blaira powinien być przestrożą dla kolejnego ambitnego przywódcy, nowo wybranego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy’ego. Sarkozy wszedł na europejską scenę nie tylko jako nadzieja na nową dynamiczną Francję (zastępując politycznie mocno zużytego Jacques’a Chiraca), lecz także jako szansa na wzmocnienie układu przywódczego w Europie. **Sarkozy, człowiek z charakterem i nieprzeciętną energią,** zdawał się także zapowiadać powrót do cieplejszych relacji z USA, a zarazem bardziej stanowczego podejścia do Rosji, i wreszcie większej otwartości etatystycznej Francji na procesy globalizacji. Po bardzo obiecujących pierwszych tygodniach kolejne miesiące tej prezydentury zaczynały przynosić rozczarowanie w stosunku do tych różnych oczekiwań. Prezydent Sarkozy szybko ujawnił pragnienie przelicytowania Angeli Merkel w aspiracjach przywódczych w UE (choć kanclerz Niemiec niespecjalnie zabiega o tę pozycję) i postawił tutaj raczej na rywalizację niż współpracę. Był wprawdzie demonstracyjnie fetowany w czasie swej wizyty w USA jako najbardziej proamerykański prezydent V Republiki, zwłaszcza na tle znienawidzonego tam za opór wobec wojny z Irakiem poprzednika, lecz jak dotychczas owa proamerykańskość nie wyszła poza retorykę; różnice wizji, ale także interesów – pozostały. Wbrew wstępnym zapowiedziom Sarkozy’ego nic nie wskazuje, aby Francja miała rychło wrócić do struktury militarnej Sojuszu Atlantyckiego. W sto-

<sup>28</sup> J. Gray, *Oportuniźm u władzy*, „Dziennik” (Tygodnik Idei „Europa”) z 12 maja 2007 r.

<sup>29</sup> T.G. Ash, *Trzy wielkie błędy Blaira*, „GW” z 12–13 maja 2007 r.

sunkach z Moskwą Sarkozy prezentuje mieszaninę nowego, bardziej wymagającego podejścia z francuską tradycją podziwu i wyrozumiałości dla Rosji. Prezydent Francji, wprawiając w zdumienie Europę, jako jedyny przywódca unijny zadzwonił do Putina, aby pogratulować zwycięstwa jego partii w wyborach parlamentarnych określonych przez OBWE jako niespełniające standardów demokratycznych. Przedwyborcze obietnice „uwolnienia” francuskiej gospodarki od gorsetu państwowych regulacji nie potwierdziły się, a już zwłaszcza nieprawdziwy okazał się wizerunek Sarkozy’ego jako gospodarczego neoliberala. Tym, co go upodabnia do Blaira – i stąd przestroga – są oznaki liberalnego interwencjonizmu (otwarte zamiłowanie do zbrojnego interweniowania ujawnia nowy francuski minister spraw zagranicznych Bernard Kouchner). Z całą pewnością ta niemożność sprostania oczekiwaniom w pierwszych miesiącach prezydentury ma głębsze przyczyny niż po ludzku zrozumiałe sprawy sercowe Nicolasa Sarkozy’ego. Sytuację politycznego przywództwa w Unii Europejskiej komplikuje słabość Gordona Browna, który w przeciwieństwie do Tony’ego Blaira, nawet retorycznie nie stara się być „Europejczykiem”. Jego poglądy na kształt i rolę UE wyraźnie zderzają się z wizją Sarkozy’ego, który dąży do Unii spójnej i aktywnej na scenie międzynarodowej. Z tego punktu widzenia nowy prezydent Francji może być dobrym sojusznikiem Polski w Unii, co już zresztą zdążył okazać, zarówno przy okazji swej pierwszej wizyty w Warszawie, jak i w końcowej fazie trudnych negocjacji nad traktatem reformującym. Notabene, nowy traktat w niemalym stopniu stanowi odzwierciedlenie wczesnej koncepcji Sarkozy’ego tak zwanego małego traktatu (w miejsce pogrzebanego m.in. nad Sekwaną traktatu konstytucyjnego)<sup>30</sup>.

Tymczasem, niezależnie od traktatowego sukcesu, który przywrócił Europejczykom nieco wiarę w siebie, lecz który bardziej konkretnie będzie odczuwalny dopiero za kilka lat, Unia Europejska z różnym powodzeniem zmagala się ze swoimi tradycyjnymi problemami. Niewątpliwym sukcesem Unii była walka z terroryzmem na własnym podwórku. Wysiłki narodowych policji i służb specjalnych oraz ich współpraca na szczeblu całej UE dawały dobre rezultaty w postaci skutecznej prewencji. Zagrożenie istniało, lecz jego materializację udaremniało przechwytywanie planów, informacji, pieniędzy, broni, a także wyprzedzające aresztowania niedoszłych zamachowców. Problemem była rosnąca w dalszym ciągu imigracja, w tym z krajów islamskich, która rzeczywiście – jak ujawniały to różne raporty – niosła ze sobą poszerzenie bazy dla terroryzmu. To między innymi z tego powodu Europejczycy byli bardzo podzieleni w sprawie kandydatury Turcji do członkostwa w UE. Kruchą równowagę pomiędzy sekularyzmem a islamizacją tego państwa i społeczeństwa w dalszym ciągu zapewniało bowiem wojsko. To armia powstrzymała możliwe postępy politycznego islamu, który przeforsował swego kandydata na prezydenta kraju, lecz który został zmuszony do respektowania świeckości jego

<sup>30</sup> N. Sarkozy, *Francja solidarna z Polską*, „GW” z 14 czerwca 2007 r. (rozmowę przeprowadzili A. Michnik i J. Kurski); Ch.S. Chivvis, *Pro-American yes, French poodle no*, „IHT” z 5 maja 2007 r.; S. Castle, D. Bilefsky, *Sarkozy and Brown offer starkly different futures for EU*, „IHT” z 14 grudnia 2007 r.; B.T. Wielński, *Jak Sarkozy z Merkel*, „GW” z 13 listopada 2007 r.



instytucji<sup>31</sup>. Problemem, który dzielił Europę, była sprawa instalacji baz amerykańskiego programu BMD w Polsce i Czechach. Część krajów popierała projekt, inne były wyraźnie krytyczne, a jeszcze inne wolały w tej sprawie zachować milczenie. Było jasne, że instalacja tych baz oraz towarzyszące im porozumienia wojskowe będą prowadzić do różnicowania standardów (zasady równego) bezpieczeństwa oraz wnosić konflikty do stosunków z Rosją. Zarówno część państw europejskich, jak i Rosja postrzegały nie bez racji program „obrony antyrakietowej” jako przejaw myślenia w kategoriach zimnej wojny i powrót do wyścigu zbrojeń<sup>32</sup>. Problem był tym poważniejszy, że elementy tak zwanej tarczy, które mają być dyslokowane w Europie Środkowej, nie służyłyby obronie Europy, lecz Stanów Zjednoczonych, a rozwój systemu amerykańskiego będzie opóźniał ewentualną budowę systemu natowskiego. Jedyne system atlantycki służyłby interesom bezpieczeństwa państw członkowskich, w tym Polski. Hasło przyszłej „NATO-izacji” amerykańskiej „tarczy” było zwykłym blefem Waszyngtonu. Sprawa BMD nie wywierała na razie negatywnego wpływu na stosunki transatlantyckie, choć w Unii narastało przekonanie, że ewentualna lokalizacja baz BMD w Europie Środkowej nie jest tylko sprawą USA, Polski i Czech, lecz także całej Unii, a to z powodu oczywistych implikacji strategicznych dla ESDP i stosunków UE–Rosja<sup>33</sup>. Same stosunki między Ameryką a UE uległy pewnemu „klimatycznemu” ociepleniu ze względu na dar perswazji kanclerz Merkel w stosunku do prezydenta Busha (np. w negocjacjach dotyczących walki z ocieplaniem się klimatu ziemskiego czy w podejściu do Iranu) czy retoryczny proamerykanizm Sarkozy’ego. Owszem, zaznaczały się wyraźne różnice wizji porządku międzynarodowego czy w sprawie sposobów rozwiązywania wielkich problemów międzynarodowych. Wiadomo było, że sprawa redefinicji sojuszu między Europą a Ameryką nie może być już dyskutowana z administracją Busha, do takiej dyskusji zresztą niezdolną. Trzeba było przeczekać. Ponadto, jak trafnie pisze Philip Stephens, „przy całym autentyzmie zderzenia między kulturami strategicznymi, wzajemność interesów pomiędzy Ameryką i Europą dalece przeważa nad różnicami”<sup>34</sup>. Chcąc nie chcąc, Europejczycy byli trzonem natowskiej operacji ISAF w Afganistanie, choć Amerykanie nie grzeszyli lojalnością wobec swych sojuszników. Mimo że to amerykańska taktyka była przyczyną przeciągania się tam wojny, szef Pentagonu Robert Gates raz po raz oskarżał oddziały wojskowe państw sojuszniczych o nieudolność, a wręcz strachliwość w zwalczaniu talibów i innych rebeliantów. Jednakowoż przyszłość NATO w mniejszym niż w ostatnich latach stopniu była obecna w dialogu transatlantyckim. Rosnący niepokój Europejczyków zaczęły wywoływać możliwe skutki kryzysu na rynku kredytów hipotecznych oraz recesja gospodarcza w USA (ze względu na nieuniknione straty europejskich funduszy inwestycyjnych).

<sup>31</sup> G. Rachman, *The Turkish paradox and the prophets of Urabia*, „Financial Times” z 1 maja 2007 r.; *Turecka armia grozi rządzącym*, „GW” z 30 kwietnia–1 maja 2007 r.

<sup>32</sup> C.S. Smith, *U.S. missile plan stirs Cold War embers in Europe*, „IHT” z 18 kwietnia 2007 r.

<sup>33</sup> J. Bielecki, *Unia chce decydować o tarczy*, „Dziennik” z 31 stycznia 2008 r.

<sup>34</sup> Ph. Stephens, *Good manners, but still very different views of the world*, „Financial Times” z 27 kwietnia 2007 r.

Więszym problemem dla Unii Europejskiej stały się stosunki z Rosją, a zwłaszcza spójność postawy państw członkowskich wobec Moskwy w sprawach tak kluczowych, jak na przykład handel czy bezpieczeństwo energetyczne. Niewątpliwie w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy unijni przywódcy zaczęli lepiej dostrzegać niekorzystne zmiany w polityce wewnętrznej i zagranicznej Rosji, wykazywać mniejszą tolerancję wobec politycznej dezynwoltury Putina i większą twardość w rozmowach z Rosją, zwłaszcza w trakcie spotkań w formule UE–Rosja. Ta spójność ulegała erozji w toku spotkań dwustronnych dużych państw Unii, które nadal rywalizowały między sobą o lepsze warunki wymiany handlowej czy kontraktów w sferze dostaw surowców energetycznych<sup>35</sup>. Względnie wspólny front wobec Rosji Unia starała się utrzymać w sprawach należących do Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, na przykład Iranu czy Kosowa. W tej drugiej kwestii UE pozostawała zakładnikiem nieudanej interwencji zbrojnej z 1999 roku i jej politycznych rezultatów. W ten sposób jedne państwa z przekonania, a inne, nie widząc szans na jakieś alternatywne rozwiązanie, popierały dążenie Kosowa do niepodległości. Jednocześnie sztywne stanowisko Holandii w sprawie współpracy z Trybunałem haskim uniemożliwiało Unii zaproponowanie kompensującej opcji, która stwarzałaby Serbii perspektywę zbliżenia z UE. Być może najbardziej wyrazistą sferą aktywności międzynarodowej Unii w ostatnim roku był jej wkład w mobilizowanie międzynarodowej współpracy na rzecz zapobiegania zmianom klimatycznym na Ziemi (poprzez własne zobowiązania i wysiłek dyplomatyczny w negocjacjach nad nowym porozumieniem, które powinno zastąpić Protokół z Kioto)<sup>36</sup>. Stany Zjednoczone (NATO) i państwa Europy Zachodniej (UE) wykazywały natomiast podobieństwo pod jednym względem: braku szczególnego entuzjazmu do zajmowania się „europejskimi peryferiami” (Europą Wschodnią i Południową), a zwłaszcza do oferowania im perspektywy członkostwa, niezależnie od tego, jak odległa miałyby ona być. Jak pisał Ron Asmus, „po pierwsze, zmienił się Zachód, a bardziej konkretnie, rezerwuar transatlantyckiej dobrej woli i politycznego kapitału zakumulowany w latach 90. wyparował w piaskach Iraku; po drugie, zmieniła się sytuacja peryferii (kraje tej strefy – Ukraina, Mołdowa, Gruzja, Białoruś, część Bałkanów – nie są tak autentycznie proeuropejskie czy proatlantyckie jak Europa Środkowa w poprzedniej dekadzie); po trzecie, zmieniła się Rosja – ze słabej, quasi-demokratycznej i chcącej stać się częścią Zachodu, dzisiejsza Rosja stała się potężniejsza, nacjonalistyczna i mniej demokratyczna, a zarazem ustawiająca się w opozycji do Zachodu”<sup>37</sup>.

<sup>35</sup> M. Bosacki, *Moskiewski ból głowy Zachodu*, „GW” z 30 kwietnia–1 maja 2007 r.; D. Bilefsky, *EU–Russia ties become increasingly strained*, „IHT” z 14 maja 2007 r.; J. Pawlicki, M. Wojciechowski, *Putin wygrał z Unią*, „GW” z 25 maja 2007 r.; A. Zaucha, A. Widzy, *Unia twarda wobec Rosji*, „Dziennik” z 19–20 maja 2007 r.

<sup>36</sup> K. Niklewicz, J. Pawlicki, *Zielona Unia Europejska*, „GW” z 10–11 marca 2007 r.

<sup>37</sup> R. Asmus, *Europe’s eastern promise. Rethinking NATO and EU enlargement*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2008.

## MAŁA STABILIZACJA W EUROPIE WSCHODNIEJ

Rosji od pewnego czasu nie można odmówić jednego – konsekwencji. Kontynuuje ona swój marsz w kierunku coraz głębszego autorytaryzmu i dzieje się to przy zaskakująco zgodnej współpracy władz i społeczeństwa. Termin społeczeństwo nie jest tu chyba zresztą do końca odpowiedni, a zwłaszcza już społeczeństwo obywatelskie. Jak zauważa Alain Besançon, Rosjanie nie są też jeszcze nowoczesnym narodem. „Pod względem mentalnym Rosja wciąż jest raczej imperium niż narodem”. Tym właśnie tłumaczy łatwą akceptację przez Rosjan „rzeczy niespotykanej w cywilizowanym świecie. Oto prezydent, niczym średniowieczny monarcha, ogłosił obywatelom, kto zostanie jego następcą. I nikt nie protestuje. Przeciwnie, obywatele kraju, który mieni się demokracją, nawet się z tego cieszą”. Jest tak, jego zdaniem, z dwóch powodów. Po pierwsze, Rosjanie dostają od pewnego czasu więcej pieniędzy, a mogą ich dostawać jeszcze więcej (z zysków ze sprzedaży surowców energetycznych). Po drugie, Rosjanie czują się zawsze lepiej, gdy władza prezydenta jest silna, gdy demonstruje siłę w stosunku do swego otoczenia. Jest to dla nich ważne źródło satysfakcji<sup>38</sup>. I rzeczywiście, **centralizacja władzy i demontaż demokratycznych dekoracji odbywa się w Rosji za daleko idącym przyzwoleniem społecznym**. Demonstracją tego trendu były „wybory” do parlamentu, w których opozycja nie miała żadnych szans, nie tylko ze względu na jej słabość czy brak społecznego poparcia, ale także dlatego, że prezydent Putin i administracja rządowa zadbali o to, aby ugrupowania opozycyjne nie miały wielkich możliwości dotarcia z ich programem do społeczeństwa<sup>39</sup>. To właśnie dlatego, a nie ze względu na manipulacje przy urnach OBWE, której możliwości obserwowania wyborów zgodnie z jej standardami zostały przez prezydenta Putina ograniczone do minimum, ogłosiła, że wybory nie spełniały standardów obowiązujących państwa członkowskie tej organizacji. Z punktu widzenia technologii organizowania „wyborów” parlamentarnych, a teraz także sposobu przekazania władzy prezydenckiej (z jednoczesną „zgodą” na objęcie urzędu premiera), ogłoszenie przez „The Time” prezydenta Putina „człowiekiem roku” było zdaniem Lili Szewcowej całkiem zasadne. Putin po mistrzowsku przeprowadził operację zachowania władzy przez jego ekipę. A przy tym „odrzucał wszelkie pozory przyzwoitości i demonstracyjnie pokazał, że w ogóle nie przejmuje się tym, jak jego poczynania ocenia świat”. W opinii cytowanej autorki „można odnieść wrażenie, że Putin dostał od Zachodu licencję na robienie wszystkiego, co mu przyjdzie do głowy”. Szewcowa uważa jednak zarazem, że w dzisiejszej samowoli Putina, ustanawianych przezeń regułach sprawowania władzy, w stabilizacji, która robi niekiedy wrażenie na zagranicznych obserwatorach, tkwią zalążki gnicia i stagnacji – źródła przyszłych wstrząsów w systemie politycznym Rosji. „Tak w Rosji działa prawo nieprzewidywanych następstw – chcieli jak najlepiej, a wyszło jak zawsze”. Szewcowa, znany analityk z moskiewskiej filii Centrum Carnegie, przewiduje jednak, że ostatecznie polityka Putina obróci się przeciw Rosji, skłania bowiem Zachód do jednoczenia się

<sup>38</sup> A. Besançon, *Cudów nie ma. Rosja nie będzie demokracją*, „Dziennik” z 14 grudnia 2007 r.

<sup>39</sup> T. Bielecki, *Władimir Putin atakuje szakali*, „GW” z 22 listopada 2007 r.

przeciw niej, do formowania wspólnej strategii, czego początki widać w postawie UE, aż w końcu źle działający system wewnętrzny zostanie otoczony wrogami. Taka będzie cena, którą zapłaci Rosja za tolerowanie rządów Putina<sup>40</sup>. Zanim jednak ziści się ewentualnie pesymistyczna prognoza rosyjskiego eksperta, nowym prezydentem Rosji ma zostać wyznaczony przez prezydenta Putina obecny wicepremier i jego protegowany, Dmitrij Miedwiediew, który ma opinię polityka liberalnego, prozachodniego i otwartego na świat. Mogłoby to zatem oznaczać, że Moskwa nie wyklucza ponownego zwrotu ku bliższej współpracy z Zachodem w niedalekiej przyszłości. Nadal jednak prawdziwym „carem” nowej Rosji pozostanie Władimir Putin, który postanowił – na zaproszenie przysłego prezydenta – objąć fotel premiera. Nikt nie ma wątpliwości, kto w tym duecie będzie sprawował realną władzę. Notabene, w latynoamerykańskiej Wenezueli ten sam manewr uwiecznienia swojej władzy nie udał się Chavezowi; tamtejsze społeczeństwo odrzuciło w referendum proponowane przez niego w tym celu zmiany w konstytucji<sup>41</sup>. Wszystko wskazuje na to, że ta swoista **odmiana „konstytucyjnego pinoczetyzmu”** zapewni Rosji stabilność polityczną. Co się jednak tyczy jej rozwoju gospodarczego i modernizacji cywilizacyjnej, to opinie są mocno podzielone. W bardziej uważnych analizach podważa się rozpowszechnioną opinię, jakoby „rynkowy autorytaryzm” przyniósł Rosji okres stabilności i prosperity. Autorzy takich analiz twierdzą coś przeciwnego, a mianowicie, iż konsekwencje autokratycznego sposobu sprawowania władzy przysporzyły jej mniej korzyści, niż byłoby to możliwe w warunkach systemu demokratycznego. Potężne zyski z eksportu surowców są przejadane na bieżąco (władza kupuje sobie przychylność i tolerancję społeczeństwa) lub umożliwiają powstawanie zawrotnych fortun wąskiej grupy oligarchów (pod warunkiem że nie próbują oni wpływać na politykę – *casus* Chodorkowskiego skutecznie spacyfikował ich publiczne ambicje). Niemala część tych zysków jest przeznaczana także na produkcję nowej broni i prężenie mięśni, choć tutaj Moskwa dostała dobre wytłumaczenie od Waszyngtonu Busha forsującego wyścig zbrojeń i prowadzącego politykę siły. Putinowski autokratyzm ani nie przeprowadza reform instytucjonalnych, aby uczynić rosyjską gospodarkę naprawdę rynkową, ani też nie podejmuje wielkich wyzwań cywilizacyjnych, chociażby kosztownej modernizacji infrastruktury niezbędnej dla rozwoju Rosji<sup>42</sup>.

Moskwa była także konsekwentna i w tym sensie obliczalna w sferze polityki zagranicznej. W ostatnim roku byliśmy świadkami nasilania się zaznaczonej już wcześniej tendencji. **Prezydent Putin umiejętnie wykorzystywał przestrzeń stworzoną mu przez rządy Busha**, które wciągnęły Amerykę w takie grzędzawisko, że nie miała mocy ani legitymacji, aby zajmować się czym innym, a zwłaszcza przeciwdziałaniem ambicjom Kremla. Zajęta przebudową swoich instytucji oraz znajdująca się w fazie politycznych zmian w głównych państwach członkowskich

<sup>40</sup> L. Szewcowa, *Prezydent Putin – przegrana potęga*, „GW” z 20–30 grudnia 2007 r.

<sup>41</sup> J. Prus, *Rosja ma nowego cara*, „Dziennik” z 3 grudnia 2007 r.; T. Bielecki, *Putin na wiegda*, „GW” z 12 grudnia 2007 r.; M. Stasiński, *Chavez pokonany*, „GW” z 4 grudnia 2007 r.

<sup>42</sup> M. McFaul, K. Stoner-Weiss, *The myth of the authoritarian model*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2008.

Unia Europejska także pozostawiała Rosji spore pole manewru. Moskwa zawsze potrafiła wykorzystywać sprzyjające okoliczności. Wzmagał się nieprzyjazny ton wobec najbliższego otoczenia, czyli państw pochodzących z rozpadu Związku Sowieckiego. Przykładem była otwarta wojna internetowa (*cyberwar*) przeciwko Estonii, stanowiąca odwet za przeniesienie pomnika żołnierzy Armii Czerwonej. Moskwa bardzo starannie pilnowała swych wpływów i interesów na Kaukazie (nieustająca presja na Gruzję) i w Azji Środkowej, którą traktowała jako strefę własnych wyłącznych wpływów. Szczególną wagę Rosja przywiązywała do tego, żeby kraje z tej strefy nie przestały być lojalnymi uczestnikami energetycznej strategii Moskwy. W stosunkach z UE prezydent Putin nieustannie testował zdolność Brukseli do prowadzenia spójnej wspólnej polityki wobec Rosji, a zwłaszcza starał się uniemożliwić Unii stosowanie jakiegokolwiek *conditionality* w podejściu do Rosji, czyli „dyktowania” jej warunków współpracy, „narzucania” jakichkolwiek standardów w sferze demokracji i praw człowieka czy inwestowania w Rosji w zamian za dopuszczanie do inwestycji rosyjskich na obszarze Unii. Czując rosnącą siłę Unii i niemożność stawienia jej czoła jako całości, czego demonstracją były kolejne szczyty UE–Rosja, Putin starał się ją obchodzić poprzez oferowanie wybranym państwom „uprzywilejowanych” relacji i szczególnych korzyści we współpracy z Rosją. Ale i z tym jest coraz trudniej. Jediną dziedziną, w której Rosja nadal odnosiła sukcesy, były dostawy surowców energetycznych do krajów UE. Oprócz wcześniejszego gazociągu bałtyckiego („Nord Stream”), którego głównymi beneficjentami są Niemcy i Wielka Brytania, Gazpromowi we współpracy z Kremlem udało się uruchomić drugi projekt – „South Stream”, czyli południową trasę dostaw (przez Bułgarię i była Jugosławię), do krajów Europy Południowej, zwłaszcza do Włoch. W ten sposób Rosjanie podcięli skrzydła projektom konkurencyjnym, w których przewidziany był udział koncernów USA („Nabucco”), lub tym, które miały służyć dywersyfikacji dróg zaopatrzenia dla krajów Europy Środkowej, zwłaszcza Polski<sup>43</sup>.

Szczególną satysfakcją prezydent Putin zdawał się czerpać z otwartego sprzeciwiania się polityce G.W. Busha, z rzucania Bushowi różnych wyzwań, a niekiedy wręcz z publicznego drwienia z różnych planów czy inicjatyw Waszyngtonu. Opozycja Moskwy niekoniecznie musiała być skuteczna, ale sprawiała, że Zachód musiał się z nią liczyć, że Kreml był traktowany jak równorzędny gracz, że jego stanowiskiem emocjonowały się media, a zastępy ekspertów zastanawiały nad tym, czym jest i jak powinna być traktowana Rosja. Przeważał pogląd, że Rosja stała się dla USA problemem lub wyzwaniem (w mniejszym stopniu rywalem czy partnerem). Byli tacy, którzy twierdzili, że Zachód „traci Rosję” z powodu aroganckiej i siłowej polityki Waszyngtonu, i tacy, którzy sądzili, że jest przeciwnie, to znaczy, że Rosję należy zacząć traktować z pozycji siły i wymusić na niej podporządko-

<sup>43</sup> A. Osborn, M. Champion, *Russia flexes new muscle*, „The Wall Street Journal. Europe” z 18–20 maja 2007 r.; T. Bielecki, *Sarkozy był miły dla Putina*, „GW” z 11 października 2007 r.; M. Landler, J. Markoff, *Estonia leczy rany po pierwszej cyberwojnie*, „GW” z 1 czerwca 2007 r.; A. Kublik, *Rosja przejmuje azjatycki gaz dla Europy*, „GW” z 21 grudnia 2007 r.; A. Kublik, *17. republika Gazpromu*, „GW” z 19–20 stycznia 2008 r.; A. Kublik, *Gazprom okrąży Europę przez Balkany*, „GW” z 26–27 stycznia 2008 r.



wanie się polityce Zachodu<sup>44</sup>. Przedmiot sporów Rosji z USA i Zachodem stanowiła sprawa statusu Kosowa, amerykańskiego programu obrony antyrakietowej oraz rozszerzenia NATO. W związku z tą ostatnią sprawą Rosja zademonstrowała gotowość obrony swych interesów poprzez zawieszenie udziału w Traktacie CFE (którego notabene była wspólnie z Białorusią jedną z dwóch stron) i sygnalizowanie możliwości odejścia od INF, aby móc wznowić produkcję rakiet średniego zasięgu. Liczne konsultacje między Waszyngtonem a Moskwą nie doprowadziły do zbliżenia stanowisk w tej sprawie, choć Rosjanie nawet oferowali Amerykanom wspólne korzystanie z potężnej stacji radarowej w Azerbejdżanie, dzięki czemu Amerykanie mieliby Iran odkryty jak na dłoni. W reakcji na dogmatyczną postawę USA Moskwa mnożyła coraz ostrzejsze wypowiedzi zapowiadające wzmocnienie własnego potencjału militarnego. Innym ważnym problemem, który dzielił Rosję i USA, był stosunek do Iranu. Jak wiadomo, Rosja była jedynym krajem, który współpracował z Iranem w jego programie nuklearnym, co budziło niepokój Zachodu. Z jednej strony Zachodowi zależało na jakimś porozumieniu z Rosją w sprawie Iranu, z drugiej Rosja wspólnie z Chinami blokowała forsowane przez Waszyngton przy poparciu Londynu i Paryża projekty surowszych sankcji RB NZ wobec Iranu<sup>45</sup>. Wpisywanie się Polski w „nową politykę powstrzymywania” Rosji (I. Iwanow) poprzez zgodę na instalację amerykańskiego systemu antyrakietowego na swym terytorium może stanowić strukturalną barierę dla rozwoju stosunków dwustronnych<sup>46</sup>. Polska już raz zapłaciła cenę za opowiedzenie się po stronie USA, a przeciwko Niemcom w sprawie wojny z Irakiem, w postaci gazociągu bałtyckiego. Za bazę „tarczy” koło Słupska może przyjdzie zapłacić kolejną, i to nie jednorazową.

**Moskwa odbierała politykę USA, UE i NATO jako strategię okrążania Rosji**, strategię wchodzenia na obszar, który traktuje ona jako swą historyczną i uprawnioną, bo przynależną takiemu mocarstwu strefę wpływów (WNP). W odpowiedzi na to Rosja uprawiała własną strategię odstraszenia – odstraszenia Zachodu od wchodzenia „na jej podwórko”. Był to rodzaj defensywnej asertywności, bo przecież w istocie Rosja nie mogła być uważana za wielkie mocarstwo czy za równoprawnego partnera USA lub UE i na Kremlu musiano sobie z tego zdawać sprawę. Brak realnej mocy starano się nadrabiać retoryką i demonstracjami pewności siebie, a zagubienie Stanów Zjednoczonych i zawrotnie wysokie ceny ropy i gazu umożliwiały tę grę. Rosja, jak wynika to z programowego manifestu ministra Ławrowa, wołała-

<sup>44</sup> D.K. Simes, *Losing Russia*, „Foreign Affairs”, listopad–grudzień 2007.

<sup>45</sup> J.F. Hoge Jr, *Dealing with Putin*, „IHT” z 5 października 2007 r.; C.J. Levy, *Putin repeats criticism of U.S. policy*, „IHT” z 18 października 2007 r.; T. Shanker, S. Lee Myers, *Putin derides U.S. antimissile plans*, „IHT” z 12 października 2007 r.; C.J. Chivers, *Putin shows flexibility with proposals for missile defense system*, „IHT” z 8 czerwca 2007 r.; W. Miasnikow, *Rosja chce tarczy europejskiej*, „Dziennik” z 2 kwietnia 2007 r.; W. Litowkin, *Tarcza – egoizm Amerykanów*, „GW” z 11 czerwca 2007 r.; F. Łukianow, *Moskwa i Waszyngton się nie dogadają*, „Dziennik” z 3 lipca 2007 r.; T. Bielecki, *Ławrow: Non possumus Rosji*, „GW” z 4 września 2007 r.; A. Pisalnik, *Putin straszy wojną nuklearną*, „Rz” z 21 listopada 2007 r.; T. Bielecki, *Putin straszy Zachód*, „GW” z 27 kwietnia 2007 r.; J. Dempsey, *U.S. and Russia seek to rescue arms treaty*, „IHT” z 7 listopada 2007 r.; J. Dempsey, *Energy-rich Caspian becomes center of U.S.–Russia power struggle*, „IHT” z 17 października 2007 r.

<sup>46</sup> G. Pawłowski, *Polska ma swoje interesy, a Rosja swoje*, „Dziennik” z 6 lutego 2008 r. (rozmowę przeprowadziła J. Prus).

by jednak współpracę z Zachodem na warunkach, które oznaczałyby respektowanie jej interesów oraz dopuszczanie jej do współdecydowania o kształcie globalnego porządku międzynarodowego. Moskiewska *Realpolitik* zdaje się obietnicą kooperatywnej Rosji za cenę uznania jej mocarstwowej pozycji, wpływów oraz wielobiegunowej wizji świata<sup>47</sup>.

**Ukraina. Meandry naddnieprzańskiej polityki.** Ukraińska polityka kontynuowała swój meandryczny bieg: zwalniała, przyspieszała co nieco, gubiła się w zakrętach, rozlewała po mieliznach, zdawała się płynąć pozbawiona kierunku i unikała spiętrzeń, które mogłyby wyzwolić jakąś twórczą energię. 2007 rok nad Dnieprem stał pod znakiem permanentnego, acz nie dramatycznego kryzysu. Podjęta przez partię premiera Janukowycza próba przejęcia całej władzy (faktycznego ubezwłasnowolnienia prezydenta) zakończyła się ostatecznie fiaskiem, czyli przedterminowymi wyborami parlamentarnymi, które we wrześniu dały sukces bohaterom „pomarańczowej rewolucji”. Sukcesem było raczej odepchnięcie od władzy Janukowycza niż wspólne, choć niespektakularne zwycięstwo „pomarańczowych”. W trzy lata po swym pierwszym triumfie „pomarańczowi” dostali, nawiązując do tytułu pracy Brzezińskiego o USA, „drugą szansę”. Trudno przesądzić, w jakim stopniu potrafią z niej skorzystać. Wybitny ukraiński intelektualista Mykoła Riabczuk twierdzi, że fundamentalnym problemem Ukrainy jest **niemożność dokonania wyboru pomiędzy „projektem postsowieckim” a „projektem środkowoeuropejskim”**. Wybór środkowoeuropejski otworzyłby przed Ukrainą drogę do prawdziwych reform, odejścia od oligarchicznej demokracji i takiegoż (z silną domieszką państwa) kapitalizmu, czyli szansę dołączenia pewnego dnia do UE i NATO. Wybór postsowiecki pogrąży ją zaś w niedookreślonym cywilizacyjnie modelu prawosławno-peryferyjnym (peryferyjnym w stosunku do Rosji). Zdaniem Riabczuka Ukrainie w swym rozdarciu jest najbliższej, w sensie podobieństwa, do Turcji, na której obszarze zmagają się religijny fundamentalizm i proeuropejska świeckość. Ta niezdolność do dokonania cywilizacyjnego wyboru powoduje, że Ukraińcy w polityce wewnętrznej i zagranicznej wyrażają sprzeczne żądania (np. chcą integracji z Rosją i UE zarazem, kapitalizmu i socjalizmu, demokracji i rządów silnej ręki itp.). Wewnętrzna niewyrazistość oraz klinczowanie się głównych ugrupowań politycznych czy biznesowo(klanowo)-politycznych przenosiły się na obszar ukraińskiej polityki zagranicznej, nadal rozdartej między Europą a Rosją. Premier Janukowycz rozpoczął proces odwrotu od Europy i został powstrzymany. Obecny duet przywódczy stoi przed zadaniem dokonania rzeczywistego zwrotu ku Zachodowi. Niezależnie od braku entuzjazmu czy zainteresowania dla Ukrainy na Zachodzie, panuje tam również głęboka niewiara w jej zdolność do wyjścia poza gołosłowne deklaracje. Na początku stycznia 2008 r. doszło do aktu niemal niewyobrażalnego, a mianowicie wspólnej deklaracji prezydenta, premiera i przewodniczącego parlamentu o woli Ukrainy rozpoczęcia przygotowań do członkostwa w NATO; jeszcze dwa miesiące wcześniej prezydent Juszczenko twierdził, że potrzeba będzie wielu lat, zanim Kijów podejmie decyzję o wejściu do Sojuszu. Nawet

<sup>47</sup> S. Ławrow, *Powstrzymywanie Rosji*, „Dziennik” (Tygodnik Idei „Europa”) z 6–7 października 2007 r.; idem, *Światu potrzebna jest silna Rosja*, „GW” z 7 lutego 2008 r.

jeśli nie spotka się to z natychmiastowym odzewem Sojuszu na jego kwietniowym szczycie (w postaci braku oferty włączenia Kijowa do programu MAP) – właśnie z uwagi na niską wiarygodność Ukrainy – to z czasem NATO może zmienić zdanie. Dotyczy to również stosunku UE do Ukrainy. Jeśli „pomarańczowi” nie „pożrą się” wzajemnie w związku z nadchodzącymi wyborami prezydenckimi i wykażą instynkt państwowy, niemal nieobecny wśród ukraińskich polityków, a jednocześnie Rosja (w tym Gazprom) nie ujarzmi kraju ekonomicznie, to „druga szansa” nie zostanie zmarnowana. W przeciwnym wypadku będziemy świadkami kontynuowania meandrycznej, jałowej stabilizacji oddalającej Kijów od Europy<sup>48</sup>.

**Niespodziewanie w końcu 2007 roku wstrząsnęło Gruzją.** Gruzini obrócili się nie tyle przeciwko kursowi polityki prezydenta Saakaszwilego, ile przeciwko autokratycznemu i aroganckiemu sposobowi sprawowania przezeń władzy. Masowe demonstracje, ich brutalne stłumienie, krótkotrwały stan wyjątkowy były konsekwencją stylu zadufanego w sobie prezydenta. Do zachwiania gruzińską stabilnością nie trzeba było tym razem inicjatywy ze strony Rosji. Na szczęście, Saakaszwili szybko zrozumiał lekcję, którą otrzymał od swego społeczeństwa, oraz pod presją Zachodu zdecydował się na skrócenie kadencji i nowe wybory prezydenckie, które w styczniu 2008 roku zostały przezeń dość łatwo wygrane. Przypadek Gruzji pokazuje, że zasadniczo słuszny program zmian może zahamować zła kultura polityczna władzy oraz ignorowanie odczuć społecznych. W ten sposób rządzący spalają się w politycznych manewrach, zamiast przeprowadzać swój kraj poprzez trudne reformy, bez których nie będzie trwałego rozwoju i perspektyw włączenia się w zbawienne, jak w przypadku Gruzji, instytucje euroatlantyckie (NATO i UE)<sup>49</sup>.

Natomiast zupełny „spokój panuje na Białorusi”...

<sup>48</sup> M. Riabczuk, *Ukraina: zderzenie cywilizacji*, „GW” z 10 kwietnia 2007 r.; idem, *Na Ukrainie trwa wojna cywilizacji* (rozmowę przeprowadził F. Memches), „Dziennik” (Tygodnik Idei „Europa”) z 28 kwietnia 2007 r.; M. Wojciechowski, *Pomarańczowa rewolucja – reaktywacja*, „GW” z 4 kwietnia 2007 r.; Z. Brzeziński, *Rosja – młodszy brat Ukrainy*, „GW” z 16 listopada 2007 r. (zdaniem Brzezińskiego sukces reform i prozachodniej orientacji Ukrainy wytyczyłby drogę Rosji); Z. Parafianowicz, *Kijów odwraca się od NATO*, „Dziennik” z 29 października 2007 r.; R. Pipes, *Nie ciągnijmy Ukrainy do NATO* (rozmowę przeprowadził M. Wojciechowski), „GW” z 10–11 listopada 2007 r. (Pipes, podobnie jak kiedyś w przypadku Polski, odradza promocję kandydatury Ukrainy do NATO ze względu na interesy Rosji).

<sup>49</sup> M. Nowakowska, W. Jagielski, *Gruzja w stanie wyjątkowym*, „GW” z 8 listopada 2007 r.; M. Nowakowska, W. Jagielski, *Zachód potępią Gruzję*, „GW” z 9 listopada 2007 r.